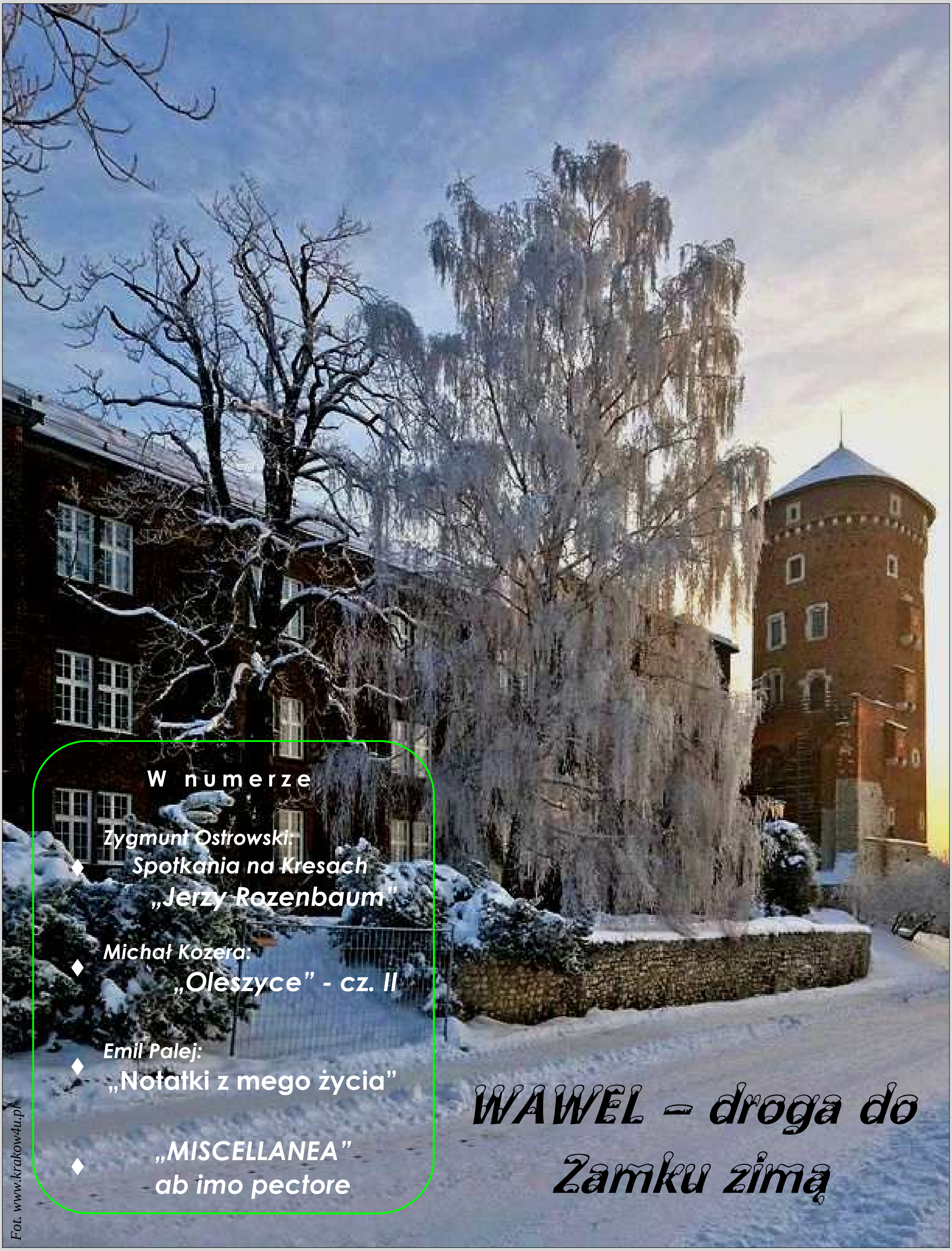
STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA
KRAKÓW
www.spp-krakow.org

QUOD LIBET

ISSN-1897- 4856
Nr 03/2012
77

TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE



Fot. www.krakow4u.pl

W numerze

WAWEL – droga do Zamku zimą

SPOTKANIA NA KRESACH

Cytowana w poprzednim numerze QL książka Olgi Pawluk pt. „Losy Polaków Zaporoża” wydana w Zaporożu w 2006 roku zawiera następujące rozdziały: *Słowo wstępne, Nasz Pan Jerzy, Marek Szwajko – żołnierz wojska Polskiego, Józefa Nowosiełecka – jak to było…, Historia jednej rodziny, Posłowie.*

Ta mała książeczka, niewielkiej objętości, zawiera jednak nader interesującą treść, z którą chociaż w części zapoznamy naszych czytelników.

Przeczytajmy zatem „*Wstęp*” i jedno ze wspomnień, poświęcone Jerzemu Rozenbaumowi – „*Nasz Pan Jerzy*”.

Red.

Cała nauka ludzkości, cała jej wiedza, powinna być subiektywna – przetworzyć się we wspomnienia
Maksymilian Wołoszyn, Historia mojej duszy

Znane wspomnienia wybitnych pisarzy, działaczy politycznych, czy wodzów, publikowane są w wielkich nakładach i czytane przez społeczeństwo. Niekoniecznie jednak trzeba prezentować wysoki poziom polityczny lub kąpać się w promieniach sławy, żeby być interesującym człowiekiem. Życie każdego, nawet na pierwszy rzut oka zwykłego człowieka, jest interesujące. Tak samo, jak czas, w którym żyje. I nie należy porównywać różnych wydarzeń historycznych. Zastanawiać się, która rewolucja jest ważniejsza? Francuska, czy Październikowa? Na pewno dla różnych ludzi, mają one różne znaczenie. A na losy państw – miały one przecież jednakowy wpływ. Tak samo jest z samymi ludźmi. **Każdy człowiek jest przecież świadkiem czasu i społeczeństwa, w których żyje.**

Dokumentalne notowanie minionych czasów we wspomnieniach to swego rodzaju reportaże historyczne, dzięki którym można zachować znaczące wydarzenia historyczne oraz warunki środowiskowe, w których odbywało się formowanie i rozwój człowieka. Mentalność bowiem nie jest pojęciem stałym. „Trzeba od razu na wstępie zauważyć, że kwestia świadomości narodowej Polaków na Wschodzie nigdy nie była i być nie mogła z bardzo wielu oczywistych przyczyn rozpatrywana jako wartość niezmienna”*.

Tą książką zaczyna się serią wspomnień Polaków naszego Stowarzyszenia i badanie śladów kultury Polskiej na obszarach Ukrainy Południowo-Wschodniej, zwłaszcza w Obwodzie Zaporoskim. Zbiór, opracowanie i publikacja tych materiałów dają możliwość nie tylko ocalenia od zapomnienia losów Polaków, ale i pokazania formowania ich mentalności. Albowiem niezwykłe losy tych ludzi na pewno miały wpływ na formowanie i rozwój owej mentalności. Z drugiej strony, ich niezwykły los na pewno jest charakterystyczny tylko dla Polaków naszych terenów – Ukrainy Południowo-Wschodniej, czyli ziem niejednolitych narodowościowo.

Życie Polaków na terenach Ukrainy Południowo-Wschodniej nigdy nie było podobne do losów Polaków Ukrainy Zachodniej, która do 1939 r. należała do Rzeczypospolitej. Dopiero przesunięcie granicy oderwało tych ludzi od Macierzy.

Obwód Zaporoski zajmuje teren większy – 6572 km kwadratowych i ma 500161 mieszkańców więcej niż Chmielnicki. Poza tym, procent Polaków, odnośnie ogólnej liczby mieszkańców, wynosi w Obwodzie Chmielnickim – 1,6, a w Obwodzie Zaporoskim tylko 0,09, co daje prawie 18 razy mniej (na podstawie danych z 2005 r.). Do tego w Obwodzie Zaporoskim mieszka 130 mniejszości narodowych. Jest to jedna z głównych przyczyn tworzenia się rodzin mieszanych, gdzie czołowym zagadnieniem staje się zachowanie języka i kultury polskiej, oraz formowanie tożsamości narodowej. Polacy Ukrainy Południowo-Wschodniej to częściowo potomkowie tych ludzi, którzy byli przesiedlani w celach obrony lub po prostu dla zaludnienia ziem bogatych w czarnoziemy. To również w pewnym stopniu potomkowie obywateli przesiedlonych jeszcze za czasów carycy Katarzyny II lub częściowo przeniesieni przez łagry po II Wojnie Światowej, oddzielenie od swojej ojczyzny na odległości często większe niż 1000 km, bez możliwości komunikacji. Myślę, że takie stanowisko Polaków w Obwodzie Zaporoskim jest typowym dla całego regionu Ukrainy Południowo-Wschodniej.

Wspomnienia opublikowane w tym wydaniu zostały spisane do użytku „wewnętrznego” dla dzieci i wnuków, w celu ocalenia korzeni od zapomnienia. Niektóre części publikowano wcześniej, inne zachowały się jako wywiady, lub fragmenty dokumentów, czy listów. Wielu, niestety, nie udało się uratować. Mnóstwo również dokumentów i zdjęć utracono przy wielokrotnych przejazdach, długich wojennych drogach, lub zniszczono ze strachu przed NKWD. Niestety, już ich nie mamy, pozostają tylko we wspomnieniach ludzi.

I to właśnie te wspomnienia ludzi, tych Polaków z różnymi historiami, o różnym wykształceniu i wychowaniu, tak bardzo zjednują. Przecież to ci ludzie wywarli ogromny wpływ na formowanie i rozwój naszej tożsamości narodowej, a niekiedy – i odrodzenie języka.

***

Tożsamość narodowa zachowała się i była formowana w rodzinach wbrew różnym warunkom środowiskowym, represjom, strachowi, a często nawet wbrew woli krewnych, pamiętających represje stalinowskie. Dlatego tak ważne jest to, by zbierano historie rodzin, ocalając od zapomnienia korzenie i pamięć o przodkach. Tak ważne jest to, że są ludzie, którzy w powstaniu Niepodległej Ukrainy, zjednoczyli się, by głośno podkreślać to, że są Polakami, by dać możliwość dzieciom i tym, którzy chcą zapoznawać się z językiem i kulturą polską nauką języka polskiego, śpiewaniem polskich pieśni i kultywowaniem polskich świąt.

Zachowanie i przekazywanie kultury i tradycji polskich przez świadomość historyczną, pamiętanie i pielęgnowanie swoich korzeni – to jedno z postawionych zadań i celów Obwodowego Stowarzyszenia Kultury Polskiej im. A. Mickiewicza, które istnieje od 1992 r. Działalność Stowarzyszenia ma na celu odrodzenie tradycji języka i kultury Polskiej, a także zrzeszenie Polaków i ludzi polskiego pochodzenia, którzy chcą poznać swoją kulturę i język, ocalić je od zapomnienia, przekazać tradycje swych przodków, znaleźć swoje korzenie albo po prostu przypomnieć sobie dawno niesłyszany język dzieciństwa.

Aktualnie w Obwodzie Zaporoskim, przy Stowarzyszeniu, działa szkoła niedzielna „Lech”, gdzie uczy się, zarówno dzieci, jak i dorosłych, o języku polskim, kulturze, historii i tradycjach. Poza tym przy Stowarzyszeniu funkcjonuje zespół artystyczno-teatralny „Polskie Kwiaty” i zespół folklorystyczny „Piernacz”, laureat wielu konkursów i festiwali międzynarodowych.

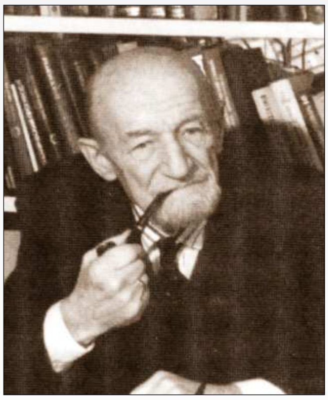
Rozwój kultury polskiej na Zaporożu byłby bardzo trudny bez tych entuzjastów, którzy jako pierwsi, wbrew przeciwnościom losu, pozostając prawdziwymi Polakami, założyli Stowarzyszenie Kultury Polskiej. To dzięki tym ludziom nasze Stowarzyszenie teraz tak świetnie się rozwija. I właśnie wspomnieniom tych ludzi poświęcona jest wspominana książka..

Olga Pawluk

Wice-prezes Zaporoskiego Obwodowego Stowarzyszenia Kultury Polskiej im. A. Mickiewicza. Zajmowała się reorganizowaniem niedzielnej szkoły „Lech” przy Stowarzyszeniu, gdzie prowadzi lekcje z literatury i kultury Polski. Brała udział w dziesięciu plenerach i wystawach malarskich na terenach Polski. Jest autorem dwóch literacko-malarskich wydań pod tytułem „Nasza Polska”. Jej artykuły o życiu i sprawach polonijnych od czasu do czasu są drukowane na łamach prasy Ukraińskiej i Polskiej.



Jerzy Rozenbaum – student



Prof.. Jerzy Rozenbaum na Uniwersytecie Zaporoskim w 1983 r.

* *Budzyński A. „Pamiętniki Polaków na Wschodzie", Warszawa, 2006, str. 9*

Nasz Pan Jerzy

Polak, chociaż stąd między narodami słynny,
Że bardziej niźli życie kocha kraj rodzinny,
Gotów zawsze rzucić go, puścić się w kraj świata,
W nędzy i poniewierce przeżyć długie lata,
Walcząc z ludźmi i z losem, póki mu śród burzy
Przyświeca ta nadzieja, że Ojczyźnie służy

Adam Mickiewicz, Pan Tadeusz, ks. X

Z zadziwiającym człowiekiem, który był głównym organizatorem i został Pierwszym Prezesem Zaporoskiego Obwodowego Stowarzyszenia Kultury Polskiej im. A. Mickiewicza, zapoznałam się dość przypadkowo. Był początek lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Ukraina odzyskała niepodległość. Powietrze było wręcz nasycone nowymi hasłami, ideami, marzeniami i oczekiwaniami. W kraju panował jeden wielki chaos. Zwykłe szkoły przekształcały się na gimnazja, wprowadzano szkoły eksperymentalne. Powstawały „nowe" programy, które w istocie okazywały się istniejącymi wcześniej, ale dawno zapomnianymi. Nikt nie wiedział tak naprawdę, dokąd to wszystko zmierza. A mnie bardzo zależało, żeby w szkole był język polski, język ojczysty moich przodków. Do tej pory nauka tego języka odbywała się tylko w warunkach domowych, nie było możliwości uczenia się polskiego systematycznie w szkole. Dlatego bardzo chciałam takiej możliwości dla mojego dziecka. Marzyłam o takiej szkole, gdzie odbywałyby się nie tylko lekcje języka polskiego, ale również gdzie uczono by więcej o historii, czy kulturze polskiej, a także gdzie obchodzono by święta okolicznościowe. Obdzwoniłam wszystkie szkoły w mieście, wszędzie jednak powtarzało się to samo pytanie: „po co"?.

Pewnego razu zatelefonowała do mnie przyjaciółka i powiadomiła, że u swoich sąsiadów spotkała przypadkowo jakiegoś profesora, który albo urodził się w Polsce, albo tam się uczył, ale teraz pracuje na naszym Uniwersytecie Zaporoskim. Ów profesor ponoć bardzo interesująco opowiadał o Warszawie i Krakowie. Przyjaciółka była przekonana, że on może wiedzieć, gdzie u nas można by uczyć się języka polskiego. Niestety języka polskiego wówczas nigdzie nie wykładano, ale takim to sposobem zapoznałam się z profesorem habilitowanym i przyszłym Pierwszym Prezesem naszego Stowarzyszenia, panem Jerzym Rozenbaumem.

Jestem przekonana, że jeśli nawet wtedy moja przyjaciółka nie zadzwoniłaby do mnie, to los mimo wszystko jakoś pozwoliłby nam się spotkać. Kilka dni później, podczas konferencji naukowej, mój ojciec, opowiadając coś koledze, użył polskiego słowa, które od razu przetłumaczył. Rozmowę usłyszał stojący opodal pan Rosenbaum, który żywo zainteresował się, skąd mój ojciec zna język polski. Panowie umówili się na późniejsze spotkanie. Niestety ojciec wyjeżdżał w delegację. I wtedy to ja „wpadłam" na profesora.

Niewysokiego wzrostu, staromodny i elegancki, ruchliwy, z ostrym wzrokiem i charakterystyczną bródką, profesor dostrzegalnie wyróżniał się wśród innych. Mówił szybko, z miękką wymową, lekkim humorem i pełną wyrazu mimiką – można było słuchać go godzinami. I słuchaliśmy. Dorośli, „seniorowie", młodzież, dzieci. Te ostatnie szczególnie, gdy opowiadał ciekawe bajki, albo śpiewał dziecięcą piosenkę: „Wlazł kotek na płotek", jednocześnie inscenizując. O czym profesor by nie opowiadał: o konstrukcjach językowych, literaturze, swoich przygodach, wszystko to było niezwykle ciekawe, a my słuchaliśmy z takim samym zainteresowaniem. Podziwialiśmy to, że zgubiwszy swoich krewnych, straciwszy środowisko, po przeżyciu stalinowskich łagrów i w pełnej niepewności swojego losu, był bardzo optymistyczny i nawet w ciężkich chwilach zarażał innych swoim dobrym nastrojem. W jego opowieściach natomiast nigdy nie było tragizmu, jakby w ogóle był mu obcy.

Pan Jerzy urodził się w Warszawie i całe swoje życie czuł się, i był, Polakiem. Miłością do Polski nasycone były wszystkie jego opowiadania, a swój mały gabinet powoli przystosował do funkcji Ośrodka Kultury Polskiej. Przynosił tam polskie książki, które udało mu się znaleźć. Przyniósł też z domu starodawną maszynę do pisania z łacińskimi czcionkami (wielka rzadkość w tych czasach i bardzo niezbędna rzecz). Zawiesił na ścianie portrety Mickiewicza i Słowackiego, które otrzymał w prezencie od jakichś przyjaciół z Polski. My oczywiście też staraliśmy się pomóc. Ktoś przyniósł z domu album zdjęć Gdańska, ktoś inny komplet czasopism „Kobieta i Życie". Dało się już wyczuć w powietrzu polską atmosferę.

<<< >>>

Ciągle dawaliśmy ogłoszenia do gazet, że szukamy Polaków, osób polskiego pochodzenia i wszystkich zainteresowanych polską kulturą. Pan Jerzy występował w telewizji. Otrzymaliśmy wiele telefonów. „Pogawędki" w małym gabineciku zaczęły się powtarzać. Działalność Stowarzyszenia nabierała pędu.

Profesor Rozenbaum w dziedzinie lingwistyki i metodyki wykładania języków obcych był znany wśród naukowców całego świata. Wyjeżdżał ze swoimi wykładami do Austrii, Niemiec, Polski i innych krajów. Bez względu na podeszły wiek i zdrowie, nadwerężone przez łagry stalinowskie, starał się zawsze odpowiadać na zaproszenia i brać udział zarówno w sympozjach, jak i wykładach, nawet w domach ludowych na wsi. W każdą pogodę można było spotkać profesora idącego gdzieś, podpierającego się swoją charakterystyczną laseczką (zdobioną rzeźbionymi smokami i sfinksami), ze skórzaną teczką pod pachą.

O profesorze Rozenbaumie, jako o wybitnym wykładowcy i naukowcu, napisano wiele artykułów. Było jednak mało wzmianek o jego działalności w kwestii polskiej kultury, chociaż pana Jerzego odznaczono medalem „Zasłużony dla Kultury Polskiej". Profesor brał również aktywny udział w działalności Związku Polaków Ukrainy (ZPU), uczestniczył w II i III Kongresie ZPU i był członkiem Rady Koordynacyjnej ZPU[1], oraz pierwszym zastępcą Prezesa Stowarzyszenia Naukowców Polskich Ukrainy[2].

Wiadomo, najbardziej profesor lubił wyjeżdżać do Ojczyzny, Polski. Bywał często w Warszawie i innych wielkich miastach. Często wykładał na Uniwersytecie Wrocławskim. Poza działalnością naukowo-pedagogiczną miał na celu również poszukiwanie i podtrzymanie kontaktów dla rozwoju naszego Stowarzyszenia, znalezienie podręczników dla szkoły niedzielnej, książek do czytania dzieciom i ludziom dorosłym.

„Placówką" został gabinecik profesora na Uniwersytecie i częściowo jego prywatne mieszkanie w bloku. Innego miejsca nie było. Zajęcia szkoły niedzielnej odbywały się w jednej z sal wykładowych Uniwersytetu, a spotkania w gabineciku. W razie potrzeby zawsze można było przyjść do mieszkania profesora, jego drzwi były zawsze otwarte.

Pamiętam długie rozmowy, które odbywał profesor z moim ojcem na Uniwersytecie, albo u któregoś z nich w domu. Obaj nie mogli nacieszyć się rozmowami w języku ojczystym. Wszystko ich jednoczyło, niewielka różnica wieku, miejsce urodzenia, pochodzenie, przymusowe opuszczenie kraju. Profesor był starszy od ojca o dziewięć lat i zdążył poznać Polskę przed początkiem II Wojny Światowej. I był niesamowitym narratorem tamtych wydarzeń.

---

[1] *Jabłoński E. „Wzlot", wydawnictwo Warszawa 2004, str. 29, 30*
[2] *Jabłoński E. „Wzlot", wydawnictwo Warszawa, 2004, str. 66*

Ach! Trzeba było go wtedy nagrywać na dyktafon...

Pan Jerzy Rozenbaum urodził się 24 sierpnia 1919 r. w Warszawie, w rodzinie fabrykanta. Jego ojciec Maksymilian i matka Cecylia byli chrzczonymi Żydami. Nawet jego dziadek ze strony ojca był ochrzczony, co w tamtych czasach zdarzało się dość rzadko. Jego rodzice wzięli ślub kościelny z wielkiej miłości, ale bez zgody ze strony ojca narzeczonej. Mimo wszystko rodzina była szczęśliwa i zamożna, a Jerzy był jedynym dzieckiem w rodzinie.

Polska tamtych czasów, była krajem, który dopiero odzyskał niepodległość, miał więc dość burzliwy rozwój. Państwo stymulowało rozwój ekonomiki i życie kulturalne. Przedsiębiorstwo pana Maksymiliana miało niezłe perspektywy, jego fabryka produkowała tkaniny i tapety. Rodzina brała udział w życiu kulturalnym miasta: zwiedzała wystawy malarskie, koncerty wybitnych kompozytorów, bywała w teatrach i kinach. W Warszawie występowali wówczas: Karol Szymanowski i Ignacy Paderewski. Rodzina zaś starała się być na wszystkich ich występach. Bywali również w teatrze na przedstawieniach Juliusza Osterwy.

Rodzice zatrudniali pokojówkę – Niemkę, kucharkę – Czeszkę, a dla Jerzyka – guwernantkę Łotewkę, z którą on rozmawiał tylko po niemiecku. Uczył się Jerzy w przyzwoitym gimnazjum i ojciec miał nadzieję, że z czasem jego synek będzie zajmował się biznesem rodzinnym.

Wśród szkolnych kolegów Jerzego znajdowały się same ciekawe osobistości, w tym znany później, król jazzowy Eddi Rozner! Ale o swoim życiu i swoich spotkaniach najlepiej opowiedział sam pan Jerzy w swoich wywiadach, których na parę lat przed nagłym zgonem, zdążył udzielić jednemu z czasopism. Pozostawił również nieskończone wspomnienia, zarówno we własnych zapiskach, jak i w relacji tych, którzy znali go najlepiej[3].

<<< >>>

W. P. – Wiem, że uczył się Pan na Uniwersytecie Paryskim – w znanej Sorbonie. Jak się Pan znalazł tutaj?

J. R. – Wtedy nie byłem mieszkańcem Zaporoża, bo urodziłem się w Warszawie, w rodzinie zamożnego człowieka. Ojciec był właścicielem dużej fabryki włókienniczej. Rodzina mieszkała w Warszawie. Najpierw uczyłem się w bardzo poważnym gimnazjum, dopiero później na Sorbonie. Tutaj, na Uniwersytecie Zaporoskim, jestem specjalistą od języka francuskiego.

W. P. – A język polski? Pan znakomicie zna i język polski...

J. R. – Jak mogę nie znać języka ojczystego?! Na Uniwersytecie mam wykłady z historii języka francuskiego, filologii romańskiej. To moja specjalność, choć w Sorbonie uczyłem się na medycynie. Taki już mój los. Po zakończeniu gimnazjum uczyłem się w Belgii. Tak chciał mój ojciec. Mnie to się za bardzo nie podobało. Fizyka, chemia, biologia... Przyjechałem na wakacje, ale bałem się powiedzieć o tym ojcu. Jedyny syn – nadzieja rodziny. Powiedziałem tylko matce. Ojciec był bardzo niezadowolony, ale potem zgodził się – jedź i ucz się, gdzie sam chcesz!

W. P. – Gdzie Pan chciał studiować?

J. R. – Chciałem w Paryżu. Paryż – to Paryż! Postanowiłem dostać się na drugi rok do Sorbony –- znanego paryskiego Uniwersytetu, ale jako cudzoziemiec powinienem był zdawać egzaminy maturalne.

W. P. – Ale przecież skończył Pan gimnazjum?

J. R. – To był bardzo ciekawy moment. Wtedy zarządzono, że egzaminy maturalne trzeba zdawać nie w gimnazjum, ale właśnie na Uniwersytecie. W gimnazjum człowiek otrzymywał dokument o tym, że ukończył szkołę, a jeśli chciał uczyć się dalej, składał dokumenty i odbywał egzaminy maturalne na Uniwersytecie. W sumie trzeba było zdawać 16 egzaminów.

W. P. – W języku francuskim?

J. R. – Francuskiego nauczyłem się w Belgii. Do czasu studiów w Belgii nie znałem ani jednego słowa w tym języku. Tutaj trzeba było zdawać te 16 egzaminów w dwudziestostopniowym systemie. Jeżeli otrzymałeś ocenę na poziomie naszej „4", miałeś zwolnienie z egzaminu ustnego, z wyjątkiem jednego przedmiotu – języka i literatury ojczystej. A w Sorbonie to jasne, że w grę wchodzi tylko język i literatura francuska.

Tematy egzaminów? Wolne, takie, które wymagają myślenia i inteligencji. Egzaminy w Sorbonie odbywały się w dużym lokalu. Na sali pisało równocześnie 200 osób, które siedziały oddzielnie, kontrolowane przez kilku wykładowców. Abiturienci siedzieli daleko jeden od drugiego, więc nie było możliwości spisywania od siebie. Pierwszy temat: „Wyobraź sobie, i opisz, dyskusję na Polach Elizejskich między Wolterem i Rousseau". I co tu napisać, gdy nie czytało się ani jednego, ani drugiego? A drugi temat: „Opisz życie trubadura w średniowieczu". Wybrałem pierwszy temat. Otrzymałem 16 z plusem. Temat z filozofii: „Jak śmieszy nas Molier"? Czytałem książkę znanego francuskiego filozofa: „Filozofia śmiechu", a do dziś mam dobrą pamięć, więc dobrze wiem, co napisał. O różnych kategoriach komizmu, do poziomu najwyższego – komizmu charakteru. I znów otrzymałem 16 z plusem.

W. P. – Język obcy też trzeba było zdawać?

J. R. – I to nie jeden, a dwa. Pierwszy angielski albo niemiecki. To już Twój wybór. Drugi język – jaki chcesz. Ja wybrałem niemiecki. Temat brzmiał: „Nie gasnące działania ludzkości". Proszę Bardzo! Jak mówi mój wnuczek: „czajnik" musi pracować. W ostatnich czasach zaczęliśmy mówić o laureatach Nobla. Byli u nas stalinowscy i leninowscy laureaci. Wziąłem więc laureatów Nobla z dziedziny literatury, techniki i sztuki, napisałem o tym, jaki wkład mieli oni w kulturę światową. Otrzymałem 16 z plusem. Drugi język – polski, napisałem bez problemów. Nadszedł egzamin z literatury. Za stolikiem dwoje egzaminatorów. Wysoki, siwowłosy wstaje, podaje mi rękę, mówi: „Romen Rollan". Zadał mi jedno pytanie, otrzymał odpowiedź i powiedział: „Wszystko, może Pan iść".

W. P.– I nie zdał Pan egzaminu?

J. R. – Pan żartuje?! Jasne, że zdałem. Zdawanie egzaminu maturalnego było równocześnie zdawaniem egzaminów na Uniwersytet. W Sorbonie uczyły się dzieci ludzi zamożnych. Z różnych stron świata. W dzielnicy łacińskiej Paryża (a jest to dzielnica studencka, w której właśnie znajduje się Sorbona) mieszkały różne narodowości świata. Jeśli chodzi o moich kolegów, to wielu już nie żyje. Ja jeszcze jakoś się trzymam, chociaż mam już sporo lat! A trzymam się tylko dzięki dobrej formie fizycznej, którą mam od lat młodości. Byłem mistrzem Warszawy w pływaniu. Kiedyś otrzymałem medal za uratowanie dziewczyny, która tonęła. Miałem też nagrody za skoki wzwyż. Lubiłem grać w siatkówkę. Zdarzało się, że grałem z królem Rumunii. On bardzo dobrze grał w siatkówkę.

W. P. –- Gdzie się Pan z nim spotkał?

J.R. – Spotkaliśmy się w Warszawie. Był on wtedy następcą tronu. W stolicy był wówczas Centralny Instytut Wychowania Fizycznego. Michaił, kiedy przyjeżdżał na wakacje, zajmował się sportem, byliśmy członkami tego samego elitarnego klubu sportowego, więc graliśmy razem. Jego Wysokość dobrze mówił po polsku. Do tego był moim rówieśnikiem. Mam w domu jego zdjęcia. Po wojnie chciał przyjechać do Rumunii, ale mu nie pozwolili.

W czasie studiów jeździliśmy na wypoczynek do domu wczasowego do Druskiennik. To jest miasteczko wypoczynkowe na Litwie nad morzem Bałtyckim. Tam znajdowała się willa Piłsudskiego (Józef Piłsudski – organizator i twórca Drugiej Rzeczypospolitej, wódz, marszałek, zmarł w 1935 r. – przypis autora). Jeździł

---

[3] *Wywiad udzielony gazecie „Подробности", „Zaporożec z Sorbony" z dnia 15.01.2004. Korespondent: W. Poluszko. Rozmowa przeprowadzona na kilka lat przed śmiercią, opublikowana w 2004 r.*

czarnym cadillakiem. Pewnego razu spacerowaliśmy z kolegą nad brzegiem morza. Naprzeciw nas idzie Piłsudski. Wąsy, płaszcz wojskowy do pięt Spaceruje. W Polsce nazywali go wtedy „Komendantem". Przywitaliśmy się z nim, a on odpowiedział. Zawiązała się rozmowa, a później wsiadł do cadillaca i odjechał.

W. P. – A z cesarzem niemieckim Wilhelmem gdzie się Pan spotkał?

J. R. – W Holandii. Ja wówczas uczyłem się w Belgii. Cesarz mieszkał we wsi Doorn. A to wszystko wyglądało tak: Mieszkaliśmy w pensjonacie. Pewnego dnia ogłoszenie: „Jutro w Holandii święto! Królowa Juliana urodziła córeczkę, przyszłą królową". Ponieważ granice było łatwo przekraczać, wystarczyło zapłacić 10 franków i można było jechać do Holandii, to pojechaliśmy samochodem. Był to luksusowy samochód z lodówką i radiem. Mówiłem już, że ojciec miał fabrykę włókienniczą. Mieliśmy do dyspozycji forda. W końcu tygodnia, po skończeniu nauki obowiązkowo gdzieś jeździliśmy. W taki też sposób przyjechaliśmy na urodziny księżnej Luksemburga. Po drodze zajechaliśmy do wioski Doorn, zobaczyć cesarza. W tym czasie cesarz rąbał drwa na opał. To było jego codzienne ćwiczenie fizyczne, ponieważ on już dawno odszedł na emeryturę. Siekiera cesarza była oryginalna – z długim toporzyskiem. Widzimy go więc jak stoi, fajka w ustach. Odkłada fajkę. Bam! Rozwalił klocek. Odpoczął. Nie widzieliśmy żadnej ochrony. Jego dom miał ogrodzenie z siatki metalowej. I to wszystko! On już od dawna nie zajmował się sprawami państwowymi i nie lubił bardzo, kiedy mu przeszkadzano w jego ulubionym zajęciu.

W. P. – Jerzy Maksymilianowiczu, jeszcze nie skończyliśmy tematu dygnitarzy. Był w pana „spisie" jeszcze na przykład car Borys?

J. R. – Był, jak i również królowie Szwecji, Anglii...

W. P. –- Gdzie Pan się z nimi spotykał?

J. R. – W Paryżu. Kiedy moja żona usłyszała o tym, powiedziała – kłamiesz bezczelnie! Ale potem mój warszawski kolega jej to potwierdził.

Jako studenci Sorbony dowiedzieliśmy się jakoś, że w wytwornym kinoteatrze paryskim odbędzie się premiera filmu z udziałem Daniel Darn'e. W tamtych czasach premiera – to premiera! Wszyscy we frakach, sukniach balowych. Prawdziwa „śmietanka" towarzyska! Więc założyliśmy z kolegą fraki i jedziemy.

Ojciec wydzielał mi kieszonkowe około tysiąc franków miesięcznie. Premiera była wówczas akcją zajmującą, co najmniej kilka godzin. Na początku zapoznanie się z bohaterami filmu. Po przerwie – kontynuacja programu. W końcu wyświetlany był film. W przerwie snujemy się w tłumie i raptem słyszymy, że wieczorem tego dnia w znanej restauracji paryskiej odbędzie się przyjęcie, w którym będzie uczestniczył Pan G. Wszyscy wiedzieli, że to król szwedzki – Gustaw V. Pamiętacie film „Poseł Związku Radeckiego"? To właśnie ten sam król.

Miałem przy sobie książeczkę czekową. Restauracja „U Maksima" – bardzo drogi lokal. Nie każdego na to stać. Wieczorem idziemy z kolegą do restauracji. Ubraliśmy się jak trzeba. Smoking, cylinder o nazwie „szapoklak", taki składany, gdy się naciskało palcami, to się rozkładał. Zostawiliśmy w szatni wierzchnie ubranie, a tu nagle podchodzi do nas kelner: „Proszę Państwa wizytówki"! Bez wizytówek nikogo nie wpuszczą. Nawiasem mówiąc, kiedy jechałem z Zaporoża po raz pierwszy za granicę i potrzebna była wizytówka, to żeby ją wydrukować musiałem dostać zezwolenie z obwodowego komitetu partii (Pan Jerzy wyjechał do ZSRR w 1939 r., a „wypuścili" go za granicę dopiero po 46 latach, w 1985 r. – przyp. autora). Oddaliśmy swoje wizytówki kelnerowi. On poszedł do drugiej sali i słyszę nagle swoje nazwisko. Odsuwa się zasłona, zapraszają nas. Widzę – jeden z gości uważnie patrzy na mnie. Przypominam sobie, że kilka dni temu spacerowałem na Polach Elizejskich. Przy przejściu na drugą stronę ulicy przypadkowo potrąciłem jakiegoś mężczyznę, który szedł razem z kobietą. Przeprosiłem go, poszedłem dalej, ale jeden z przechodniów powiedział mi: „Czy pan wie, kogo Pan potrącił? Cara bułgarskiego – Borysa"!. I było to powiedziane tak głośno, że car Borys obrócił się. Znów zdjąłem kapelusz, ukłoniłem się lekko. Car też w odpowiedzi nieco podniósł swój melonik i rozeszliśmy się. W Paryżu wszystko jest możliwe... Okazało się, że panem w centrum sali, który patrzył na mnie, był właśnie car Borys. Szybko wstał od stołu i podszedł do mnie: „Czy Pan pamięta nasze spotkanie na ulicy? Chcę poznać Pana z żoną". O czym miałem rozmawiać z carycą? Powiedziałem parę słów o pogodzie, przeprosiłem i powiedziałem, że nie jestem sam. Raptem ogłaszają: „Mister G". Szybko wszedł bardzo wysoki mężczyzna, siwy, smukły. Ściska wszystkim rękę. Mnie też. Gustaw był mistrzem w tenisie w Szwecji. Lubił też haftować. Pięć, sześć lat przedtem zdarzyła się ciekawa historia. W Anglii umarł król Jerzy V, kuzyn rosyjskiego cara Mikołaja II. Na angielski tron wstąpił następca Edward VIII. Był on zakochany w Amerykance, która miała już trzech mężów – pani Simpson. Wtedy o niej mówiła cała Europa. Tradycyjnie królewskie osoby brały ślub tylko z osobami ze swego kręgu. A ten król tę tradycję zmienił. Zaproponowano zrezygnowanie z tronu. I zrezygnował! Królem został jego brat Jerzy VI. A książę ożenił się z panią Simpson. I wyjechał. Księcia Jerzego zaś wszyscy mieli za eleganckiego mężczyznę poważanego w Europie. Brzmiało to po łacinie: „Arbiter elegantiarum". Pewnego razu przyszedł na jakieś przyjęcie, zapomniawszy zapiąć guzik w kamizelce. Odtąd wszyscy eleganci Europy cały rok chodzili z rozpiętym guzikiem. To był prawdziwy gwóźdź mody! A tu książę we własnej osobie!

Po pojawieniu się księcia otworzyły się duże drzwi do jednej z sal. A tam rozstawiono wielki zastawiony stół. Zapraszają nas do tego stołu. Gdzie usiąść? Okazało się, że obok każdego kompletu talerzy stoi podstawka z wizytówką. Moja wizytówka – obok wizytówki cara Borysa. Jesteśmy sąsiadami za stołem. Bankiet się rozpoczął.

Francuzi przygotowują i jedzą wiele dań. Za naszym stołem siedziało gdzieś 50 osób. Za każdym krzesłem stał kelner. Przed każdym uczestnikiem tego bankietu po 7 talerzy, noży i widelców. Tyleż samo kieliszków. Kelner pokazuje butelkę, firmę producenta. Nie chcesz tego wina, pokazuję inną butelkę. Chcesz spróbować, nalewa troszkę do kieliszka. Kelner dobrze wie, że do tego dania pasuje białe wino, a do innego – czerwone. Albo szampan. Znałem etykietę, jedno danie, drugie... Toasty. Przerwa. Palą, rozmawiają. Potem słodycze, deser. 10 gatunków sera, masła, kawy. Król szwedzki mówi: „Kelner, wszystkim po butelce szampana na mój rachunek"! Podaje szampana z lodem każdemu gościowi... Bankiet skończył się o drugiej w nocy. Jakaż procedura opłaty? Naprzeciwko każdego oficjant stawia talerzyk, nakryty serwetką. Podnosisz ją, tam rachunek. Popatrzyłem – 800 franków! Na mojej książce czekowej – równo tysiąc. Kelnerzy, taksówkarze i inna obsługa otrzymywała 10% za obsługę. Mój rachunek – 800 franków. Trzeba płacić 880.

W. P. – Czy koronowane osoby płaciły za siebie?

J. R. – Oczywiście. Wypisałem czek na 900 franków i kładę na talerz. Tutejsi goście mieli książeczki czekowe. Gotówki nie mieli. Może tylko drobne.

W. P. – O czym rozmawialiście za stołem?

J. R. – Kiedy nie ma się o czym mówić, rozmawia się o pogodzie. O polityce – ani mru mru. O sekretach państwowych – w żadnym razie! Nie wypada. Są specjalne bankiety – gdzie mówi się o sprawach politycznych. A tutaj to był bankiet odpoczynkowy. Wypada rozmawiać o muzyce, teatrze, sztuce. Proszę bardzo! Do Paryża przyjeżdżają na odpoczynek. Tak samo, jak do Monte Carlo, Nicei albo na Riwierę.

...W 1936 r. przed świętami Bożego Narodzenia otrzymuję telegram od ojca – przyjeżdżaj do Wiednia będziemy jeździć na nartach, a potem pojedziemy do Warszawy. Pojechałem pociągiem znanym jako „Orient Express". O nim właśnie pisała Agata Christie. Pociąg: Londyn-Stambuł szedł przez prawie wszystkie stolice europejskie do samej Turcji. Przejeżdżamy przez granicę niemiecką. Pociąg ma tylko pięć wagonów. Przedział – na trzy osoby. Ze mną jeszcze dwoje Anglików. Też jechali w Alpy na narty. Gdzieś w nocy wchodzi konduktor z przeprosinami. Mówi, że na następny dzień w Norymberdze odbędzie się zjazd nazistów. Do pociągu powinno wsiąść kierownictwo partyjne z Kolonii, które jedzie na ten zjazd. Uprzejmie przeprasza, że trzeba dostawić krzesła do przedziału. Czy Państwo nie będzie sprzeciwiać się temu? Anglicy zaprotestowali, ale bez żadnego skutku. Do przedziału wchodzi trzech Niemców: jeden w czarnym mundurze z trupią czaszką na galonach i czapce, drugi w zielonym – generał, trzeci – w brązowym uniformie z nazistowską swastyką na rękawie, około pięćdziesięcioletni, grubas. Anglicy odwrócili się i udawali, że już śpią.

Następnego dnia rano przynieśli śniadanie. Nie będziesz, przecież, jeść w milczeniu, zapoznaliśmy się. Rozmawiam bardzo dobrze po niemiecku. Zaczyna się odkryta propaganda. Grubas mówi: „Jadę do Prus Wschodnich, jako inspektor kolonii Hitlerjugend". Ten, w czarnym mundurze – obersturmbannführer – zaprasza w gościnę. Potem obiad. Wypiliśmy. Wchodzi konduktor i mówi: „Ze względu na to, że w pociągu jadą nasi wielce szanowni cudzoziemcy, przyjedziemy do Norymbergii na godzinę wcześniej i będziemy stać 1,5 godziny, żeby nasi goście mogli zwiedzić miasto". Niemcy proponują je pokazać. Wychodzimy na peron. Wiele flag ze swastyką. Długie do samej ziemi. Podbiegają do nas dziewczynki, nazywane „Winter-Hilfe" – pomoc zimowa. Zbierają do pudełek pieniądze dla biednych. Tym, kto dał pieniążki, dają znaczek na szpilce. Generał oraz obersturmbannführer wrzucają pieniądze do pudełka. Mnie też przyczepiają znaczek – na białym tle – duża swastyka. Wsiedliśmy do samochodu, usłyszałem: „Sportpalac"! Wyjeżdżamy za miasto. Pałac sportowy. Duża sala. Sami wojskowi. W mundurach: czarnych, zielonych, brązowych. Usiedliśmy. Po dziesięciu minutach rozlega się wrzask i wszyscy wstają. Na scenie długi stół nakryty zielonym suknem. Za nim coś w rodzaju trybuny ze szkłem. Krzyczą: „Zig hajl"!. Na scenę wychodzą Göring, Goebbels, Ribbentrop, Neurat Rozenberg, Frank... Siedli za stół. Tylko usiedliśmy, znów wszyscy wstają, krzyczą. Na trybunie zjawia się Hitler. Widać go po pas. Dość tęgi. W brązowej koszuli, na rękawie opaska ze swastyką. Zaczyna mówić. Znam niemiecki bardzo dobrze. Mówca z niego znakomity! Czuje psychologię tłumu. Powie dwa słowa – wszyscy wstają i wrzeszczą. Był moment, kiedy i ja omal nie zacząłem krzyczeć.

Na pewno wiecie, że wtedy był tak zwany „polski korytarz". On prowadził do morza. Prusy Wschodnie były oddzielone od Niemiec. Hitler mówił i o tym: „Jak to może być? Nasza ziemia – i osobno! Trzeba wszystko zabrać"!.

Potem mnie odwieźli samochodem na dworzec. Niemiec – grubas siedzi w przedziale. Anglicy na mnie nie patrzą. W Wiedniu ojciec mnie spotkał, dowiedział się o zjeździe nazistowskim, zrobił wymówkę i na tym wszystko się skończyło. Nawiasem mówiąc, wtedy ZSRR był przyjacielem Niemców, pomagał chlebem, surowcem... A potem Niemcy napadli na Polskę...

<<< >>>

Pamiętam z opowieści pana Jerzego o czasach studenckich, że fizykę w Sorbonnie wykładał Frederic Joliot-Curie. Wykłady wspaniałe – mową łatwą do zrozumienia, z humorem. Jeżeli powrócić do znajomości języków obcych przez pana Jerzego, to poza ojczystym językiem polskim, znał biegle język francuski, niemiecki, łacinę. Czytał po angielsku, włosku, hiszpańsku...

<<< >>>

Po nielegalnym przekroczeniu granicy, razem z Edkiem, synem sąsiada, znaleźliśmy się w nędznym hoteliku w Drohiczynie. Kiedy byliśmy już w łóżkach, do pokoju wszedł milicjant i poprosił o dokumenty[4].

Powiedzieliśmy mu, że uciekliśmy od Niemców i jedziemy do Lidy, bo mamy tam znajomych, którzy pomogą nam jakoś się urządzić. Milicjant zgodził się z nami, ale powiedział, że najpierw trzeba pójść z nim na posterunek żeby się zarejestrować. Po chwili zaprowadził nas na ten posterunek (później zrozumiałem, że kiedyś była to szkoła), gdzie zamknięto nas w jakimś pokoju. Czekaliśmy tam całą noc i część dnia. Około południa zaprowadzili mnie samego do innego pokoju, w którym siedział wojskowy. Przedstawił się: starszy lejtenant „gosbezopasności" Babajan. Obok niego siedziała jakaś dziewczyna, która tłumaczyła, bo nie znałem ani jednego słowa po rosyjsku.

I zaczęła się komedia. Postaram się jak najdokładniej odtworzyć ten oryginalny dialog:

– Wiesz dokąd wpadłeś?
– Wiem, do NKWD.
– A czy wiesz, czym to było przedtem?
– Wiem. GPU.
– A przedtem?
– „Czeka"
– A kto był pierwszym naczelnikiem „Czeka"?
– Wiem, to był nasz rodak, Feliks Dzierżyński.

W pokoju na ścianie wisiał portret Kalinina, ówczesnego Przewodniczącego Rady Najwyższej ZSRR. Pokazując na ten portret, Babajan zapytał:

– A wiesz, kto to jest?
– Oczywiście, każdy wykształcony człowiek wie, że to prezydent Związku Radzieckiego, Michał Kalinin.
– Aha! Za dużo wiesz. Znaczy, żeś zakończył najlepszą szkołę szpiegowską za granicą!

Zaśmiałem się, bo myślałem, że żartuje. Za chwilę zrozumiałem, że to nie są żarty. Babajan wywołał wartownika, który zaprowadził mnie do ubikacji, która znajdowała się koło domu, i którą nazwał „psią budą". Zamykając mnie rzekł: „Pomyśl o twoich ciemnych sprawach"!. Było to w listopadzie i było już bardzo zimno. Przed wieczorem zaprowadzili mnie znów do tego „enkawudzisty", który zażądał, żebym dał mu swoje dokumenty. Oddałem wszystko, co miałem: paszport, świadectwo dojrzałości, dokumenty z uniwersytetu, ręczny i, drugi – złoty zegarek kieszonkowy, który dał mi ojciec na wszelki wypadek, żebym sprzedał, jeśli nie będzie pieniędzy.

„Enkawudzista" powiedział, że jestem podejrzany o szpiegostwo i być może, jeszcze o spekulację, bo mam dwa zegarki, i wysłał mnie z konwojem do więzienia w Pińsku. Powiedział, że to wszystko robi się tymczasowo i tam, po wyjaśnieniu spraw, będę na pewno zwolniony. Wieźli nas razem z moim znajomym, który też przeszedł przez to wszystko.

W Pińsku zaprowadzili nas do wielkiej celi, w której znajdowało się mniej więcej dwadzieścia osób. Wszyscy Polacy. Warunki były takie: materace na podłodze jeden obok drugiego, w kącie „parasza", powietrze nie do wytrzymania, jedzenie 400 gramów czarnego, mokrego jak glina chleba, rano i wieczorem tzw. „herbata", na obiad jakaś polewka, przygotowana nie wiadomo z czego.

Kiedy przyprowadzili nas do więzienia, zażądaliśmy od komendanta, żeby wezwał prokuratora, bo jesteśmy niewinni, przyjechaliśmy dobrowolnie do Związku Radzieckiego i muszą nas wypuścić. Obiecał, że wezwie. Czekaliśmy kilka dni, codziennie pukaliśmy do drzwi celi i przypominaliśmy, że naczelnik obie-

[4] *Ten urywek wspomnień pan Jerzy napisał w Wielki Piątek, 17 kwietnia 1993 r. w języku polskim. Ciąg dalszy wspomnień pana Jerzego był napisany później, opublikowany: „Dziennik Kijowski", 7/1993.*

cał wezwać prokuratora. Nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi.

Trzy dni później, kiedy zrozumieliśmy, że nikt do nas nie przyjdzie, postanowiliśmy zacząć głodówkę protestacyjną. Było to jedyne wyjście. Następnego dnia przenieśli każdego z nas do separatek, żeby nie wywołać ogólnej głodówki.

Od tego czasu nie widziałem więcej swojego kolegi i do dnia dzisiejszego nie wiem, co się z nim stało.

Leżę sobie w mojej celi, nic nie jem i nic nie piję. Codziennie przynoszą jedzenie i codziennie je zabierają. Przez pierwsze dwa albo trzy dni bardzo chciało mi się jeść i pić, ale powiedziałem sobie, że muszę wytrzymać.

Potem już mi się nie chciało ani jeść, ani pić. Czekałem. Ciekawe, że wtedy zupełnie nie myślałem o możliwości śmierci głodowej.

Później dowiedziałem się, że człowiek może wytrzymać bez jedzenia i picia tylko dziewięć dni.

Dziewiąty dzień głodówki. Rano otwierają się drzwi celi i wchodzi naczelnik więzienia. Zaczyna mnie namawiać, żebym zaczął jeść i obiecuje solennie, że poprosi prokuratora. Stawia tylko jeden warunek, żebym dziś zaprzestał głodówki. Jeszcze raz obiecał, że prokurator przyjdzie rano następnego dnia. I ja, głupiec, uwierzyłem i zgodziłem się.

Wywołał dwóch ludzi, którzy przenieśli mnie na noszach, bo byłem tak słaby, że nie mogłem wstać. Zanieśli mnie do szpitala więziennego posadzili na krzesło dentystyczne i zaczęli karmić. Najpierw dali pół szklanki mleka, za pół godziny – surowe jajko z rozmieszanym cukrem i kawałeczek masła. Potem położyli mnie do jakiejś salki szpitalnej i przynosili codziennie zupę mleczną z ryżem.

Leżałem tam dwa dni. Nie traciłem nadziei, że zobaczę prokuratora, ale on, oczywiście, nie przyszedł. I nieoczekiwanie wywołali mnie na plac, gdzie było już kilkudziesięciu więźniów.

Powieźli wszystkich na dworzec kolejowy do pociągu. Dopiero na miejscu dowiedzieliśmy się, że przywieźli nas do Mińska, do więzienia.

Cela była dość duża, ale więźniów w niej było tak wielu (tylko Polacy), że spaliśmy jak śledzie w beczce. Przewrócić się na drugi bok można było tylko wszystkim jednocześnie.

Było tak ciasno, że dla jednego więźnia zawsze brakowało miejsca na podłodze – musiał on siedzieć całą noc na „paraszy". Siedzieliśmy tam na zmianę – co noc ktoś inny.

Na przesłuchanie wywoływano tylko w nocy. Wyglądało to mniej więcej tak. W nocy otwierają się drzwi celi i zjawia się nadzorca z listą w ręku i pyta: „Kto siedzi na bukwu O"? Wszyscy czyje nazwisko zaczyna się od tej litery, po kolei wymieniają swoje nazwisko. Nadzorca szuka na liście i wywołuje człowieka z celi.

W Mińsku siedzieliśmy mniej więcej pół roku. Ciągle pytałem mojego śledczego, dlaczego nie wzywa prokuratora. Odpowiadał, że nie ma po co, bo śledztwo już się kończy. Co zrobią ze mną...? Nie chciał powiedzieć. Pod koniec lipca wsadzili nas znowu do wagonów i przewieźli do więzienia w Witebsku. Tutaj w mojej celi wszyscy też byli Polakami. Dość długo nikt nie wywołał mnie do zeznań, a ja – czekałem, czekałem...

20 sierpnia 1940 roku przyszedł nadzorca i powiedział: „Sobirajsia s wieszczami"! Oznaczało to, że już więcej nie wrócę do celi. Ale co ze mną będzie? Przewiozą mnie do jakiegoś innego więzienia? Czy może zwolnią?

Naprawdę spodziewałem się, że mnie zwolnią, bo byłem przecież zupełnie niewinny, bo przedostałem się dobrowolnie do Związku Radzieckiego, bo nie chciałem zostać u Niemców i w ogóle nie wiem kto mnie sądził, bo przecież nie było żadnego sądu. Później dowiedziałem się, co to jest „trójk"a. Naczelnik jeszcze raz zażądał abym się podpisał pod wyrokiem, ale jeszcze raz kategorycznie odmówiłem. Wtedy ktoś schwycił mnie za kołnierz i kopniakiem wyrzucił z gabinetu. Miałem jeszcze sekundę czasu, by spojrzeć na zegar, wiszący na ścianie: była godzina druga trzydzieści w nocy...[5]

„...Dowiedziałem się więc, że za nielegalne przejście granicy i podejrzenie o szpiegostwo skazano mnie na 8 lat „łagru". I zaczęła się włóczęga po więzieniach, a do tej chwili byłem już w trzech. Leningrad. Więzienie „Kresty", znane doskonale wszystkim „przestępcom", zwłaszcza tym, którzy byli skazani w 1937 roku za tzw. „trockizm". W porównaniu z więzieniami w Pińsku, Mińsku i Witebsku „Kresty" były „więzieniem komfortowym", przynajmniej w tej części, w której siedzieli „polityczni". Cele były oddzielone od korytarza kratami, ale drzwi były otwarte i można było swobodnie chodzić z jednej celi do drugiej. W naszym małym korytarzyku były trzy takie cele. Właśnie tam zawarłem pierwsze znajomości. Byli to ludzie inteligentni, z wyższym wykształceniem w wieku od 40 do 60 lat. Pamiętam kilka nazwisk: były komsomolski pracownik wysokiej rangi – Romanowski, były główny reżyser leningradzkiego teatru – Hofman, leningradzki artysta, znany nam tylko z pseudonimu – „Radzelli". (Był to ponury człowiek, który, odpowiadając na pytanie za co „siedz"i, mówił – za dowcipy). Wszyscy ci ludzie otrzymali wyrok – po 25 lat „łagru" za „działalność kontrrewolucyjno-trockistowską". W więzieniu można było wypożyczać książki, a „bibliotekarzem" był wspomniany Romanowski. W celach nie było ciasno, każdy miał łóżko z materacem, prześcieradłem i kocem. Przyjeżdżał do nas nawet „łariok" i ten, kto miał pieniądze, mógł sobie tam kupić chleb, papierosy albo cukierki. Patrzyłem na to zgłodniałymi oczyma, bo nie miałem ani grosza. Raz na tydzień przychodził fryzjer, pracujący bezpłatnie. Był to zapewne też jakiś więzień. Właśnie w tym więzieniu przypadkowo udało mi się zobaczyć swoje „dieło" – teczkę z kartonu, zawierającą moje dokumenty, na której był taki napis: NPG („nielegalnyj pieriechod granicy"), PSZ („podozrenie w szpionaże"), SOE („socialno opasnyj element"). Żaden śledczy nigdy mnie nie wywoływał.

Nie byliśmy tam długo, bo przewieźli nas do Wołogdy. Teraz już wiem, że za „panowania" Breżniewa siedzieli tam najgroźniejsi dysydenci. Byliśmy tam jednak bardzo krótko, bo dalej przewieźli nas do tzw. „łagru przejściowego"" do Archangielska. Był to najbardziej ciężki okres naszej „podróży". Mieszkaliśmy w wielkich namiotach (a był to już koniec października), mniej więcej po sto osób w każdym namiocie. Lecz najstraszniejszym było to, że mieszkaliśmy tam razem z bandytami, złodziejami i chuliganami. Po kilku dniach posadzili nas na statek „Stiepan Chałturin".

Zdarzył się ze mną na tym statku niezwykły przypadek.

Zapędzili nas na dół, pod pokład, gdzie było zupełnie ciemno. Namacałem jakieś nary (prycze – przyp. Autora) i usiadłem, trzymając pomalowaną atramentem walizkę z dykty, którą wymieniłem za coś po drodze, żeby schować w niej jedyny skarb, który – ku memu zdumieniu – zwrócili mi w więzieniu – palto zimowe na futrze. Siedzę sobie na tych narach i myślę, co dalej ze mną będzie, gdy nagle w ciemności ktoś wyrywa mi z rąk tę walizkę. Zacząłem krzyczeć, ale na nic to się nie zdało. Kiedy po chwili przyzwyczaiłem się do ciemności zobaczyłem, że tuż za mną na narach znajduje się jakaś postać. Był to młody człowiek ubrany w niebieskie spodnie, wsunięte w buty z cholewami, spuszczone w „harmonijkę". Na głowie miał karakułową czapkę „Kubankę". Gdy tak się mu przypatrywałem on pchnął mnie nagle kolanem i zapytał po rosyjsku: „czego płaczesz"? Zrozumiałem i odpowiedziałem po polsku: „Walizka, palto". Wówczas sąsiad ten, ogłuszająco gwizdnął i natychmiast zjawił się jakiś podejrzany typ, któremu coś ci-

[5] *Znów ze wspomnień pana Jerzego.*

cho szepnął. Minęła nie więcej, niż minuta i oto moja walizka stała już przede mną. Sąsiad rzekł: „nie Bojmia”, co nie trudno było zrozumieć. O wiele później zrozumiałem, że to był „pachan”, tzw. główny złodziej. Do dziś nie mogę zrozumieć, dlaczego on tak ze mną postąpił. Może chciał zademonstrować przede mną swą władzę nad tą zgrają, a może tliła się jeszcze w jego sercu iskierka dobroci...

Wreszcie dotarliśmy do Narjan-Mare, portu na Morzu Północnym. Były tam wielkie przetwórnie przemysłu drzewnego, w których mieliśmy byli pracować. Ale zaszły jakieś zmiany i posłali nas do kopania wielkiej ziemianki, przeznaczonej do przechowywania jarzyn. Kiedy wykopaliśmy głęboki dół, mniej więcej 10 na 20 metrów, niespodziewanie zawiadomili nas, że znów ruszamy w drogę.

Wtedy właśnie zaczęło mi szwankować zdrowie. Przede wszystkim spuchły mi nogi. Pantofle uwierały, lecz bałem się je zdjąć, gdyż później nie byłbym w stanie ich obuć.

Z początku płynęliśmy statkiem, później wieźli nas pociągiem do stacji Kozwa. Tu kolej się kończyła. Stąd zaczęła się straszna piesza wędrówka. Kiedy teraz patrzę na mapę, to aż nie wierzę własnym oczom. Nigdy nie zapomnę tej udręki.

Wyglądało to tak. Stoi kolumna, złożona ze stu osób po cztery w każdym rzędzie. Okrążają nas żołnierze, uzbrojeni w automaty ręczne ze specjalnie wytresowanymi psami na smyczach. Nagle słyszymy: „Siadać”. Zaczynają nas przeliczać. Potem naczelnik konwoju krzyczy: „Uprzedzam – krok na lewo albo krok na prawo – strzelam bez uprzedzenia”!. Idziemy, a za nami wloką się sanie z prowiantem i starą kuchnią polową.

<<< >>>

Pierwsze spotkanie z „lekpomem" Czarnym, o którym już wspominałem, w dużym stopniu zadecydowało o moim dalszym losie[6]. Gdy mu powiedziałem, że studiowałem na uniwersytecie paryskim, natychmiast zawiadomił o tym głównego lekarza Rachmanowa. Tamten zbadał mnie bardzo dokładnie i powiedział mniej więcej tak: „Nie bój się, my cię wyleczymy, a po wyzdrowieniu zostaniesz tu jako „lekpom”. Kiedy już będziesz chodził to nauczysz nas paryskich tańców, bo mam tu właśnie gitarę”. Ale nie mogłem jeszcze chodzić, bo nogi miałem zgięte w kolanach przez szkorbut i odmrożenia. Męczyła mnie biegunka. Postanowili odciąć mi odmrożone pięty, ale kategorycznie się nie zgodziłem. I dobrze zrobiłem, bo zaczęto mnie energicznie leczyć i do dziś chodzę na własnych piętach. Podawano mi tran, różne witaminy i robiono gorące kąpiele dla nóg. Zmuszano mnie też do jak najczęstszego chodzenia celem wyprostowania zgiętych nóg. Pożywienie było kiepskie, ale regularne. Mniej więcej po dwóch miesiącach włożyłem fartuch lekarski i zacząłem wykonywać funkcje „lekpoma”.

Kiedy z żołądkiem było już wszystko w porządku i nogi się wyprostowały, przerzucono mnie do ambulatorium, kierowanego przez Enin-Genina, gdzie stałem się jego pomocnikiem. Rozmawialiśmy z nim po niemiecku, bo wtedy nie znałem jeszcze języka rosyjskiego, a niemiecki znałem z dzieciństwa, gdyż (jak już wspominałem) moją nianią była Łotyszka, mówiącą tylko po niemiecku. Mój szef nazywał mnie (nie wiadomo dlaczego) Frycem. Polecił mi podawać chorym lekarstwa, które im przypisywał. Jednak nie wolno mi było dawać tych lekarstw chorym do rąk i właściwie musiałem sam ich nimi karmić. Chory siadał na mały stołeczek, a kierownik krzyczał z drugiego pokoju: „Fryc, daj mu bizmut z tanalbiną”, co oznaczało, że jest to sprawa żołądkowa. Chory otwierał usta a ja wsypywałem mu ten proszek dając mu do zapicia trochę wody. Zdarzało się dość często, że przychodzili symulanci, którzy chcieli wykręcić się od pracy w kopalni. Wtedy lekarz krzyczał: „Fryc, zrób mu zastrzyk największą szprycą, i wiesz gdzie…”! Zwykle symulanci bali się zastrzyków i uciekali. Zdarzało się, że rano przychodził naczelnik łagru, wielki chłop o nazwisku Ustinow, który łapał więźniów za kołnierz i, bijąc ich pięścią poniżej karku, wypędzał z ambulatorium, krzycząc: „Idź leniu do pracy”.

Wiele lat później, już w Zaporożu, usłyszałem przez radio, że pierwszym sekretarzem KC KPZR został Konstantin Ustinow i rzuciłem się na poszukiwanie gazety, aby zobaczyć na zdjęciu, czy nie jest to przypadkowo ten sam Ustinow z Workuty. Nie, do tego nie doszło...

Pewnego dnia zawiadomił mnie mój kierownik, że u dzieci strażników zjawiła się jakaś podejrzana wysypka i ja, jako „paryski specjalista”, powinienem ich zbadać, ustalić chorobę i leczyć. Było to nie tylko dowodem szacunku do mej byłej uczelni, ale, co najważniejsze, dowodem zaufania ze strony władz. Okazało się, że dzieci zachorowały na szkarlatynę, nie wiadomo skąd przywiezioną przez któregoś z członków rodziny. Codzienne wizyty miały dla mnie wielkie znaczenie, bo mogłem słuchać radia, którego nie było w łagrze. I, jak się okazało, świat nie jest bez dobrych ludzi. Zapraszali mnie zawsze na godzinę dwunastą, bo wtedy właśnie przez radio nadawali ostatnie wiadomości. Miałem możliwość opowiedzieć o tym, co się dzieje na świecie, moim towarzyszom. Zostawiali mnie samego w pokoju i włączali radio. Na stole zawsze leżała paczka papierosów „Kazbek”, a przed odejściem przypominali mi, abym nie zapomniał wziąć ją ze sobą. Po powrocie do łagru rozdawałem te papierosy towarzyszom i opowiadałem o ostatnich nowościach. Pewnego dnia znalazłem w paczce papierosów jakiś banknot. Nie pamiętam już dokładnie, ile to było, ale wiem dobrze, że była to dość duża suma. Pomyślałem sobie, że chcą sprawdzić jak się zachowam, i następnego dnia przyniosłem te pieniądze mówiąc, że na pewno znalazły się one w paczce przypadkowo. Gospodarz domu spojrzał na mnie surowo i powiedział: „Znaczy się, że powinny były tam być”. Były i wtedy dobre dusze, nawet wśród strażników.

Innym razem posłali mnie do głównego kucharza łagru, Chińczyka, który złamał nogę i po usunięciu gipsu trzeba mu było robić masaż. Za każdym razem, gdy przychodziłem, czekała na mnie wielka patelnia ze smażonymi kartoflami. Było to danie, co prawda, zrobione z suszonych kartofli, ale nie o to chodzi...

Kiedy już mówię o „dobrych duszach”, to muszę opowiedzieć jeszcze i o moich towarzyszach, z którymi mieszkałem już nie w ziemiance, a w baraku „dla członków samorządu”. Gdy zbieraliśmy się po pracy, rozmowy toczyły się o literaturze, malarstwie, teatrze, nawet o nauce. Byli to przecież ludzie wykształceni z wielkimi tradycjami rodzinnymi. Było to dla mnie, jeszcze młodego i niedoświadczonego, ważnym uniwersytetem – uniwersytetem wiedzy i życia...

Karpenko, niewysoki szczupły mężczyzna z krótką bródką, znajdował gdzieś oddzielne stronice ze starych książek i wprowadzał mnie w labirynty cyrylicy. Gdy nauczyłem się jako tako czytać po rosyjsku, powiedział mi: „Powinieneś wiedzieć ze stron książki jakiego pisarza nauczyłeś się czytać po rosyjsku. Zapamiętaj to nazwisko, bo teraz jest ono zabronione, ale kiedyś dowiesz się o nim, bo zna go cały świat. Jeszcze cię proszę, zapamiętaj to nazwisko: ZOSZCZENKO”. I miał rację, teraz wszyscy znają tego wspaniałego pisarza.

22 czerwca 1941 roku Niemcy hitlerowskie napadły na Związek Radziecki. Od razu w łagrze nastąpiły wielkie zmiany: wszystkich „pridurków” posłali „na obszczyje raboty”, tj. na węgiel. Pamiętam tylko dokładnie, że moim partnerem był Szwed Hartevelt, z którym nosiliśmy drewniane belki, przeznaczone do stropów kopalnianych, a lekarz Ryniejski naprawiał szyny przeznaczone dla wagoników z węglem. Co robili inni moi towarzysze nie wiem, bo rozłączono nas i nigdy więcej ich nie

[6] *„Dziennik Kijowski”, nr 12/1996.*

ujrzałem.

Był tam z nami pewien stary Żyd z Sambora pod Lwowem o nazwisku Karger, nie wiadomo za co znalazł się w łagrze. Dostał na pewno pomieszania zmysłów, bo nosił zawsze na szyi przywiązany sznurkiem, znaleziony na śmietniku, nocnik, którego używał jako naczynia do jedzenia. Tragiczny los niewinnego starca...

Warunki pracy były bardzo ciężkie. Pracowaliśmy po 12 godzin na dobę z przerwą na obiad. Ci, którzy wypełniali „normę", t. j. 12,9 ton, otrzymywali 600 gramów chleba i trzykrotny posiłek. Była to najczęściej smażona świeża ryba morska – „treska" (muszę się przyznać, że do dnia dzisiejszego z przyjemnością jem tę smaczną rybę) z gotowanym na gęsto grochem. Byli i tacy, którzy przekraczali tę „normę" Otrzymywali dodatkowo jeszcze 200 gramów chleba i większe porcje posiłków. Ale najnieszczęśliwsi byli ci, którzy nie byli w stanie wypełnić „normy", czekało ich 200 gramów chleba i „bałanda" trzy razy dziennie. Oznaczało to śmierć, bo po takim wyżywieniu nikt już nie był w stanie wykonać „normy".

Na zdrowie więźniów wpływały też trudne warunki atmosferyczne: pół roku dzień i pół roku noc. Stale szalały zamiecie, a w sierpniu – wrześniu – nadlatywały całe chmury jakichś muszek, niedających ani chwili spokoju.

...Blisko cztery miesiące przeżyłem w takich mękach do dnia, gdy nieoczekiwanie, (a było to w połowie września 1941 roku) zjawił się strażnik, wywołał mnie i powiedział: „Sobirajsia z wieszczami"!.

<<< >>>

J. R.: – Pewnego dnia wywołał mnie do siebie naczelny łagru, podpułkownik. Była już wtedy wojna. Mówi mi, że jestem zwolniony przedterminowo w związku z tym, że między ZSSR i Polskim Rządem Emigracyjnym w Londynie zawarta została ugoda. Trzeba było mi, jako podlegającemu obowiązkowi służby wojskowej, jechać na granicę z Iranem w obwodzie Czkałowskim, gdzie odbywała się formacja polskiej armii generała Andersa[7].

Przyjeżdżam więc do Buzułuk, armia Andersa już wyjechała do granicy z Iranem. Jadę do miasta Czardżou nad Amu-Darią. Zastaję tam obóz, namioty, mnóstwo ludzi, w tym Anglików. W moim namiocie, prócz mnie znalazł się: Menachem Begin.

W. P. – Czy to nie ten człowiek, który potem został premierem Izraela?

J. R. – Właśnie ten sam. Ale wtedy nazywaliśmy się wszyscy rekrutami. Trzecim w namiocie był Władysław Broniewski, bardzo znany polski poeta. On też do tego czasu był w radzieckim więzieniu.

Komisja lekarska zaświadczyła, że nie jestem dość zdrowy do służby w armii. Gdzieś mniej więcej 20 osób miało taką samą sytuację. Begina wzięli do armii, Broniewskiego, też, a mnie nie. Broniewski na pożegnanie sprezentował mi swój wiersz, który napisał w tym czasie w namiocie. Zachowałem oryginał tego wiersza. Jest w języku polskim (Pan Jerzy wiele razy pokazywał mały kawałek papieru z wierszem napisanym przez Broniewskiego, był bardzo dumny z tego i zawsze nosił go w notatniku. Niestety, po nagłym zgonie profesora nie znaleźliśmy wiersza – przypis autora, ale udało się znaleźć niepublikowane notatki o literaturze polskiej XX wieku, w których są wspomnienia o tym. Podaje to).

Po klęsce wrześniowej 1939 roku, ukazał się on, Broniewski, we Lwowie, gdzie był aresztowany przez władze sowieckie . Po wyjściu z więzienia uchodzi razem z armią generała Andersa na Bliski Wschód. Na emigracji opublikował „Bagnet i broń" (1943) i „Drzewo rozpaczające" (1946). Tak się złożyło, że nocą, przed uchodem z armią Andersa, w namiocie koło samej granicy perskiej, poeta podarował kartkę z notesu, na której napisane było:

Jakie ciężkie są w życiu drogi,
I już zewsząd tai się rozpacz.
O dalekim, minionym, drogim
Powiedz serce, albo się rozpłacz.
I tak miło mi o tamtej ziemi
myśleć czasem, idąc przez życie,
żem nauczył się tam słów, któremi
umiem kochać, i cierpieć, i bić się.
Dzięki, dzięki za każde słowo,
dobrzy ludzie z dziecięcych wspomnień,
niech wam szumi, wiślanie, sosnowo
wiatr, co ślady tam zamiótł po mnie.

O wiele lat później okazały się te słowa włączonymi do dużego wiersza poety „Miasto rodzinne".

W. P. – O czym ten wiersz?

J. R. – O Warszawie, o ciężkich losach Polaków. Gdy sobie o tym przypominam, to aż łzy lecą. Data jest zaznaczona – 1941 r.

Pamiętam, jednego ranka wstajemy, a namiotów już nie ma. Armia przeszła granicę irańską. Potem dowiedziałem się, że Begin wyjechał do Palestyny, a Broniewski był we Włoszech. Wyjechałem z Warszawy w 1939 r., a odwiedziłem ją dopiero w 1985 r. 46 lat. Begin już wtedy zmarł. Wiele ludzi zginęło podczas Powstania Warszawskiego. Potem zesłano mnie do Karakałpakskiego okręgu autonomicznego. Chorowałem, byłem w szpitalu, potem tam w szpitalu pracowałem jako felczer.

W Karakałpakii znajdowało się więcej niż 3,5 tys. Polaków. W tym czasie w Lublinie formowano Polski Rząd. Byłem przewodniczącym Związku Polskich Patriotów. Pani Wanda Wasilewska nadaje telegram z Moskwy: „Obwód Zaporoski – najżyźniejszy na Ukrainie...". Otrzymałem rozkaz, aby zebrać Polaków w Karakałpakii i wyjechać do Zaporoża. Przyjechaliśmy do Archangielska – nie ma wagonów. Całe szczęście, na taką okoliczność otrzymałem w Karakałpakii w NKWD dokument, że jestem pełnomocnikiem NKWD. Pokazałem ten dokument i od razu otrzymałem 50 wagonów.

W październiku 1944 r. przyjechaliśmy do Zaporoża. Instytut pedagogiczny – w gruzach. Spotkaliśmy się z kierownictwem Obwodu, dyrektorem fabryk metalurgicznych, dyrektorem kołchozów – wszyscy potrzebowali pracowników.

Do 1946 r. kierowałem więc poradnią dla kobiet. Potem kierownictwo partyjne odesłało mnie do pracowania w szkole jako wykładowca języka francuskiego. Wtedy szkoły były męskie i żeńskie. W dwa lata, zamiast pięciu, skończyłem Uniwersytet Charkowski, kierunek: filologia francuska. Potem zrobiłem doktorat. 16 lat pracowałem w szkole Nr 13. Potem zaprosili mnie na Uniwersytet Zaporoski. W sumie jestem więcej niż 50 lat w Zaporożu.

<<< >>>

Za życia pana Jerzego byłem jego wice-prezesem i jego „prawą ręką", wiele czasu spędziliśmy razem. Może właśnie dzięki temu łączyło nas wiele wspólnych spraw i zainteresowań.

Pewnego razu wpadłem niby na chwileczkę do pana profesora, ale tej „chwileczki", jak zawsze, nie wystarczyło. Siedzimy, coś omawiamy. Raptem w moje pole widzenia wpada zdjęcie jakiegoś wojskowego, lat około 40. Pytam – kto to jest? Profesor odpowiada, że to jego stryjek, zawodowy oficer. Dostał fotografię zaledwie parę lat temu, ale leżała w szufladzie i dopiero niedawno postawił ją na biurku. Profesor opowiedział mi też smutną historię o jego tragicznym losie.

W 1939 roku dostał się do niewoli w Związku Radzieckim. Był w łagrach i w 1940 roku został rozstrzelany razem z innymi oficerami w Lesie Katyńskim. Kiedy Katyńska zbrodnia nabrała rozgłosu, zaczęły się badania miejsc pochówku zamordowanych. W teczce polowej jednego z pochowanych znalazły się papiery z nazwiskiem Rozenbaum. Tam też znajdowało się zdjęcie z podpisem, z którego wynikało, że tuż przed agresją ZSRR miał zamiar je wysłać rodzinie. Te okoliczności sprawiły, że przez pewien czas poszukiwano krewnych ofiar mordu. Dużo czasu upłynęło, kiedy jedyny krewny przy życiu – pan Jerzy Rozenbaum – dostał wiadomości o losie stryja, a z nimi i zdjęcie.

Ze wspomnień obecnego prezesa Zaporoskiego Obwodowego Stowarzyszenia Kultury Polskiej im. A. Mickiewicza, doc. dra Jerzego Pawluka

[7] *Znów z wywiadu pana Jerzego w gazecie „Подробности", 15.01.2004.*

OLESZYCE

Michał Tadeusz ***K o z e r a***

W poprzednim odcinku napisałem o układzie sieci drożnej wokół Oleszyc próbując je – mniej czy więcej – datować. Na podstawie znanych zasad historyczno-urbanistycznych. Teraz przyszedł czas na opis miasta i próbę rekonstrukcji jego układu na przestrzeni lat.

OLESZYCE - część II

Dzieje miasta spróbuję opisać na podstawie informacji zaczerpniętych z artykułu Mieczysława Książka i Kazimierza Kuśnierza. Był on zamieszczony w Tece Komisji Urbanistyki i Architektury, tom XV (1981 roku). Ten tekst jest dla przeciętnego czytelnika niedostępny, a zawiera szereg cennych i interesujących informacji. Przy czym poddałem go małej reinterpretacji i dostosowałem do aktualnych potrzeb wiedzy popularnonaukowej.

Zmiany zachodzące w układzie miasta przedstawiłem na stosownym rysunku. Są to cztery najważniejsze etapy rozwoju miasta – od XVI do XIX wieku. Współczesne miasto na pewno znają ci, co tam byli, a jeżeli nie byli to powinni się tam wybrać. Przy czym za dojazd z dworca kolejowego nie będą już płacić w halerzach a jedynie w złotówkach. I nie dojadą dorożką tylko ewentualnie taksówką. Chociaż najlepszy byłby spacer. Dla zdrowia.

Jak już wspomniałem w poprzedniej części – najstarszą osadą jest wieś Stare Oleszyce (lub Oleszyce Stare, – jak kto woli). Nie wiemy, kiedy została założona. Stało się to na pewno nie wcześniej niż w XIV wieku (wyjaśnienia – patrz część I tekstu).

Wiemy na pewno, że istniała w 1525 roku, kiedy rodzina Ramszów (dokładniej Helena Ramsza) ufundowała przy niej kościół. Został on właśnie w tym roku konsekrowany. To wskazuje, że musiał być budowany przynajmniej kilka lat. Założenie parafii przyjmuje się na 1517 rok. Zatem kościół był najprawdopodobniej budowany pomiędzy 1517 a 1525 rokiem. Wspomniani tu autorzy artykułu napisali, że wieś powstała wraz z kościołem. Nie ma jednak po temu żadnych dowodów w przedmiotowym artykule ani w znanych mi źródłach historycznych. Wieś mogła powstać wcześniej, a Ramszowie stali się tylko jej właścicielami na początku XVI wieku.

Należy zwrócić uwagę, że kościół zbudowano po stronie wschodniej osady. Nie był to przypadek. Albowiem największe zagrożenie dla osadników mogło nadejść właśnie od wschodu. Tatarzy, Rusini i inni. To wskazuje, że ówczesny kościół musiał być najprawdopodobniej ufortyfikowany. Znamy liczne przypadki takich obiektów sakralnych na tamtym terenie. Podobnie budowano także cerkwie. Okna umieszczano bardzo wysoko, dodawano wieże i szereg innych elementów obronnych.

Piszę o tym w czasie przeszłym, bo dzisiaj już tego kościoła nie ma. Obecny został wybudowany w 1907 roku.

Ciekawie przedstawia się również sprawa wezwania kościoła – Narodzenia Najświętszej Marii Panny. To właśnie na przełomie XV i XVI wieku rozwija się silny kult Najświętszej Marii Panny. Licznym kościołom z tego okresu nadaje się to wezwanie. Tyle, że z różnym przymiotnikiem: Narodzenia lub Wniebowstąpienia czy podobne.

Na koniec wspomnijmy o jeszcze jednej hipotezie. Wieś jest położona w widłach rzeki Przerwa i jej dopływu. Teren pomiędzy nimi tworzy rodzaj półwyspu. Logiczniej zatem byłoby osadę zlokalizować w widłach obu rzek. Tak jednak się nie stało. To sugeruje, że w tamtym miejscu – między wsią a mostkiem na rzece – stała jakaś inna – osada lub gródek. Zapewne starsza. Pokazano ją owalem z kropek, bo nic o niej obecnie nie wiemy. A może tutaj stał jakiś zamek, kasztel czy inne umocnienie?

Należałoby kiedyś przeprowadzić badania archeologiczne i architektoniczne. Chociażby sondażowe. Dla potwierdzenia lub zaprzeczenia tej teorii. Bo jej potwierdzenie mogłoby być niezłą sensacją!

<<< >>>

Od rodziny Ramszów ówczesne Oleszyce (dzisiaj Stare Oleszyce) wykupiła rodzina Sieniawskich.

Kariera tych ostatnich rozpoczęła się za panowania króla Zygmunta Augusta. Mikołaj (to imię występuje często w tej rodzinie i może prowadzić do niezłego zamieszania w ustalaniu danych historycznych) Sieniawski był hetmanem polnym koronnym od 1539 roku, wojewodą ruskim od 1553 roku, a hetmanem wielkim koronnym od 1561 roku. Głównie brał udział w walkach na pograniczu południowo-wschodnim, na terenie Mołdawii.

Nas jednak interesuje jego syn: Mikołaj (znowu to imię, ale taka była wówczas tradycja w rodach magnackich) Hieronim Sieniawski. On z kolei był hetmanem polnym koronnym od 1569 roku i kasztelanem kamienieckim od 1576 roku. Także – jak ojciec – brał udział w walkach o tron mołdawski.

Powołanie go na kasztelana kamienieckiego mogło mieć wpływ na wzrost jego dochodów. Podobnie jak udział we wspomnianej wojnie. Był to także czas wyboru Stefana Batorego na króla Polski (przypomnijmy: elekcja odbyła się 15 grudnia 1575 roku, a koronacja w dniu 1 maja 1576 roku).

Dlatego też Mikołaj Hieronim Sie-

niawski założył nowe miasto w Oleszycach nadając mu prawa miejskie. Wieś przemianowano wówczas na Stare Oleszyce. Dla rozróżnienia.

Stało się to w 1576 roku. Z czasem nowa osada stała się ośrodkiem klucza dóbr, centrum administracyjnym i handlowym części włości rodziny Sieniawskich. I to tym bardziej, że przywilej założenia Oleszyc jako miasta potwierdził król Stefan Batory – w 1578 roku – określając dodatkowo jej uprawnienia targowe. Tym samym należy podejrzewać, że ten król bardzo sobie cenił współpracę z Mikołajem Hieronimem Sieniawskim.

Tak powstała nowa osada, której lokację należy przypisać osobie prywatnej. Nie był to jakiś ewenement. W tamtych czasach założycielami osad bywali: król lub prywatny właściciel lub kościół katolicki.

To jest również zapewne odpowiedź na pytanie postawione w I części tekstu. Wielka Encyklopedia Powszechna PWN powstała w czasach, kiedy własność prywatna nie była mile widziana. Żeby nie powiedzieć więcej. Niestety. Nawet do danych historycznych zaprzęgnięto politykę. Po co? Ja tylko się domyślam...

Kościół parafialny doczekał się zapewne jakichś zmian. Jadwiga Sieniawska (z domu Tarło de Czekarzewice) uposażyła kościół parafialny w 1580 roku.

O prywatnym charakterze miasta świadczy również jego herb, ostatnio ponownie zatwierdzony przez władze miasta. Jego wygląd pokazano w centralnej części, dołączonego do tego tekstu, rysunku. Przedstawia białą (w heraldyce nazywa się tę barwę także srebrną) strzałę z półkolem u dołu umieszczoną na tarczy w kolorze czerwonym.

W herbarzach nosi on zwykle nazwę Ogończyk lub Powała (ta pierwsza nazwa wydaje się bardziej poprawna – przyp. autora). Jest to herb znany z najstarszego, polskiego herbarza rycerskiego, którego autorstwo jest przypisywane Janowi Długoszowi – kronikarzowi i kanonikowi krakowskiemu (czyli datowanego na III ćw. XV wieku).

Przedstawiony na nim „srebrny" symbol to najprawdopodobniej jest ostroga (kiedyś takie noszono przy butach dla poprawnego prowadzenia konia podczas jazdy wierzchem lub w siodle). Półkole to ta część przypinana do buta, a strzałka to symboliczne przedstawienie części czasami wbijanej w bok konia. Na wypadek, gdyby nie chciał słuchać jadącego na nim rycerza. Zatem słowo Ogończyk może pochodzić od Ogona, który może byś średniowiecznym określeniem na ostrogę. Dodajmy, że słowo Powała może pochodzić od czasownika powalić. A to może oznaczać, że pierwszy właściciel herbu mógł spaść z konia. Może miał źle przypiętą ostrogę?

Powróćmy jednak do tematu. Herb ten należał do rodziny Sieniawskich. Dlatego swoje włości oznaczali swoimi symbolami herbowymi. Jedynie należy pamiętać, że miasta używały tarczy herbowej o innym kształcie niż ta w herbie rycerskim. Zmieniającym się zwykle w zależności od epoki historycznej.

Powstałe wówczas miasto pokazano na rysunku w prawym, górnym rogu.

Najpierw wytyczono Rynek w kształcie zbliżonym do kwadratu (podobno 100 na 120 metrów – jak podają autorzy artykułu wymienionego na wstępie – czyli w wielkości powszechnie wówczas stosowanej). Wokół Rynku wytyczono szereg działek dla osadników. Najprawdopodobniej było ich po 8-12. Tworzyły one układ tak zwany wiatrakowy. To oznacza, że z każdej pierzei rynku wychodziła jedna ulica – na cztery strony świata. Przy czym droga od zachodu łączyła się ze Starymi Oleszycami, a droga od wschodu łączyła się z nieodległym miastem Lubaczowem. Pozostałe dwie drogi – północna i południowa – prowadziły najprawdopodobniej do obu cieków wodnych. Tam najprawdopodobniej stały łaźnie. Bo w tamtych czasach nie było prywatnych łazienek, tylko łaźnie ogólnomiejskie. Był to zwykle drewniany budynek położony nad rzeką. Tam można było się umyć czy ostrzyc. A do tych celów była potrzebna woda płynąca, a nie stojąca.

Ktoś zapyta: dlaczego dwie łaźnie?

Odpowiedź jest banalnie prosta. W miastach prywatnych osadnicy nie byli jednego wyznania. Zwykle byli wyznawcami kilku różnych religii. W tamtych czasach bowiem panowała większa tolerancja religijna. Zatem w Oleszycach mieszkali zarówno katolicy, Żydzi, prawosławni czy grekokatolicy. Potwierdzają to informacje z różnych dokumentów historycznych. Ta zasada wieloreligijności obowiązywała przynajmniej do początku XX wieku. Należy przypomnieć sobie chociażby opis miasta z 1919 roku.

Przy czym należy powiedzieć wyraźnie, że każda z nacji mieszkała w innej części miasta. Prawosławni mieszkali od północy, katolicy od zachodu, Żydzi od wschodu. Zapewne z kolei grekokatolicy od południa. W ostatnim przypadku brak jest jednoznacznych danych. Zapobiegało to zapewne ewentualnym konfliktom. Bo te – od czasu do czasu – zapewne zdarzały się.

Tu krótka ciekawostka. Skoro w mieście mieszkały cztery różne nacje, to należy się spodziewać czterech łaźni. Dwóch na północy i dwóch na południu. Chociaż mogło być i tak, że niektóre z łaźni były wykorzystywane, przez co najmniej dwie nacje. Z tym tylko, że najprawdopodobniej w różnych dniach czy o różnych porach. Brak jednak jest co do tego danych historycznych.

Na koniec należy wspomnieć o zamku lub dworze. Bo skoro istniało miasto, to także należy spodziewać się tutaj jakiejś siedziby zajmowanej przez jedną z rodzin powiązanych z Sieniawskimi. W myśl przysłowia: Pańskie oko konia tuczy.

Najlogiczniejszym wydaje się zlokalizowanie tego „dworzyszcza" na cyplu, w widłach obu cieków wodnych (na rysunku pokazano to czarnymi kropkami) Wynikało to z konieczności nadania obronnego charakteru temu budynkowi. Bo przecież największe zagrożenie dworowi i temu miastu groziło od wschodu.

Aby jednak odpowiedzieć na tę kwestię konieczne są badania archeologiczne. Przynajmniej sondażowe. Tym bardziej, że we wspomnianym miejscu spodziewam się występowania również starszego grodziska – z przed pojawienia się wsi czy miasta Oleszyce.

Oczywiście mogło być także inaczej. Nie było wówczas żadnej siedziby szlacheckiej. Zarządzaniem miastem zajmowały się lokalne władze mieszkające wewnątrz miasta, a ewentualne problemy były załatwiane w centralnym mieście włości. Mam na myśli miasto Sieniawę, która jest oddalona od Oleszyc o około 35 km, czyli jeden dzień jazdy na koniu czy wozem konnym.

<<< >>>

W tym kształcie miasto przetrwało co najmniej do połowy XVII wieku, albo trochę dłużej. Nie posiadam danych czy zostało zniszczone za najazdu Szwedów w połowie XVII wieku czy ewentualnie podczas kolejnego na początku XVIII wieku. A może zniszczeń dokonali inni najeźdźcy? Pozostawiam to innym ba-

daczom.

Wiemy, że w latach 1713-29 zespół zamku odnowiono (lub wybudowano) staraniem Adama i Elżbiety Sieniawskich, a w 1743 roku przebudowano gruntownie. Z początkiem XVIII wieku między innymi zreperowano wały ziemne i postawiono nowy parkan drewniany. Wtedy także przewidziano stanowisko dla armatki. W 1751 roku dwór był opisany jako murowany na parterze i drewniany na piętrze. Zatem zespół przechodził liczne zmiany i przebudowy.

Zapewne cały kompleks otoczono ziemnymi wałami w formie czterech bastionów. Dwór posiadał z kolei cztery wysunięte alkierze. Powstały najprawdopodobniej dla polepszenia obrony samego budynku dworu-zamku. Pełniły rolę swoistych wież narożnych. Tyle tylko, że niskich – ze względu na stosowanie dział na proch i kule kamienne (lub żelazne).

Ten okres to również dalszy rozwój miasta. Rozrasta się ono w kierunku północnym, południowym i wschodnim (może także w kierunku zachodnim zajmując część terenów kościelnych?). Ale największa zmianę daje się zauważyć od strony wschodniej. Nowe osadnictwo stworzyło regularny układ działek pomiędzy osadą lokacyjną a rzeką Przerwą. Przy czym centralna droga została przesunięta bardziej na południe w stosunku do drogi wcześniejszej.

Dało to możliwość stworzenia osiowego układu. Tak typowego dla baroku. Na jednym końcu osi znalazł się ratusz, a na drugim nowy zamek-dwór obronny. Pomiędzy nimi wytyczono nową drogę. Z nowymi działkami po jej obu stronach. Przy czym działki te mają jednakową głębokość – co wskazuje na jednoczasową akcję osadniczą.

Tak powstała już trzecia osada, chociaż nie nadano jej nowej nazwy. Przypisano ją nadal do miasta Oleszyce. Wszak tworzyła wraz z wcześniejszym układem osadniczym w miarę jednolitą całość. Pokazano ją na rysunku lewym, dolnym. Dodajmy jeszcze, że w tym samym czasie – lub trochę później – powstał ogród barokowy przy zamku-dworze obronnym.

Zmiany te miały najprawdopodobniej miejsce w I połowie XVIII wieku. Przemawia za tym również fakt budowy nowego ratusza w 1727 roku (dzisiaj nie istnieje– obecny pochodzi z XIX wieku).

<<< >>>

Poprzednie trzy fazy rozwoju Oleszyc uzupełniłem rysunkiem miasta z 1845 roku. Jest to tak zwany plan katastralny miasta, którego autorem jest jakiś inżynier austriacki. Dzięki temu znamy kształt miasta z połowy XIX wieku. Dzisiaj istnienie takich planów jest dużą rzadkością. Niestety. A pokazują one miasto w najciekawszym okresie zaboru austriackiego. Albowiem nie ma jeszcze linii kolejowej i nie ma zmian, które przeszły Oleszyce po tym okresie.

Dla porządku przypomnijmy, że właściciele Oleszyc zmieniali się – szczególnie w XVIII i XIX wieku. Byli to Czartoryscy, Potoccy, Sapiehowie. Lokalizację synagogi czy cerkwi znamy ze wspomnianego planu katastralnego z 1845 roku. Dzisiaj nie ma po nich śladu. Chociaż dokumenty wskazują, że oba obiekty sakralne mogły powstać wkrótce po założeniu miasta.

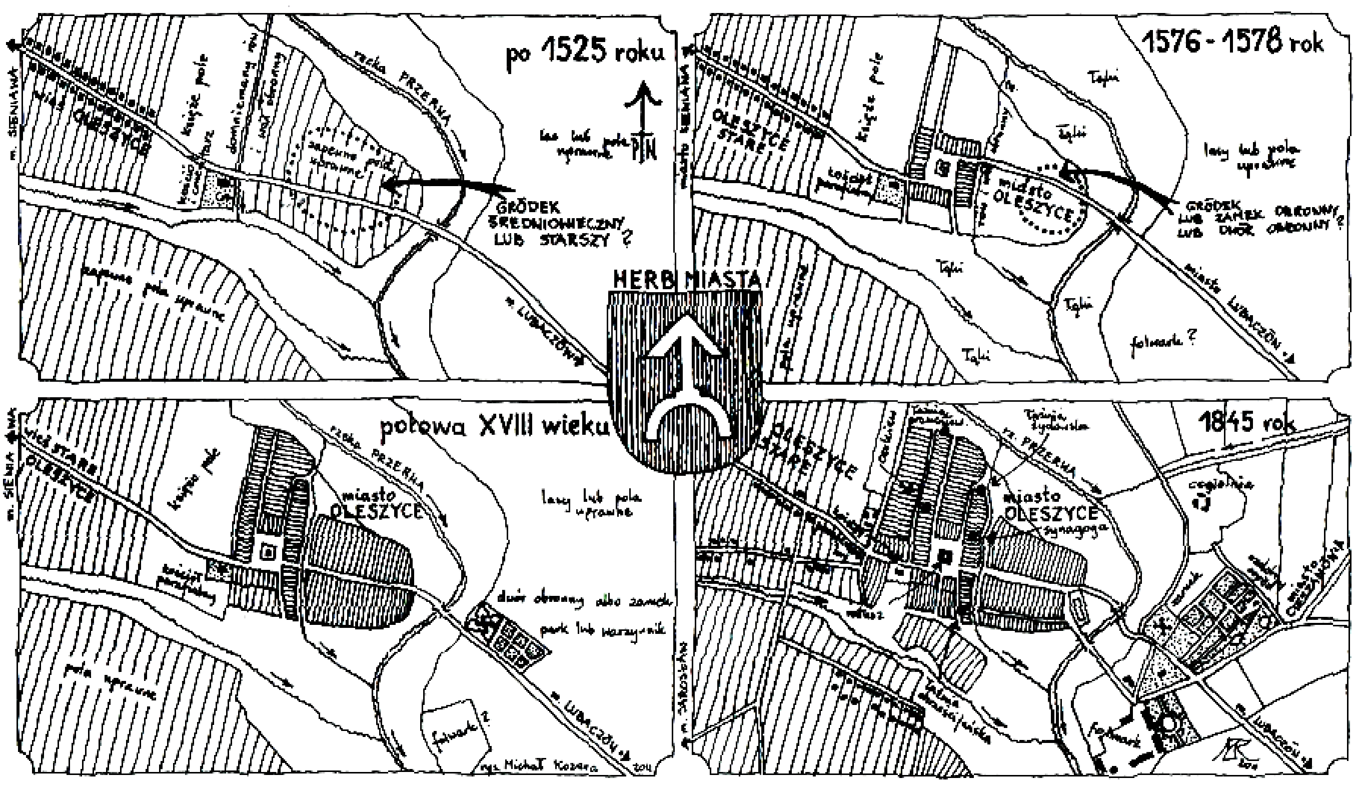
Z kolei dokument z 1674 wzmiankuje w Oleszycach prezbitera cerkwi – Bazylego Lenkiewicza. Został on mianowany przez Mikołaja Hieronima Sieniawskiego namiestnikiem wszystkich popów w kluczu oleszyckim. W Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego – wydanym w Warszawie, w 1886 roku – jest wzmianka, że w 1674 roku w Oleszycach była parafia greckokatolicka i stała cerkiew pod wezwaniem św. Onufrego.

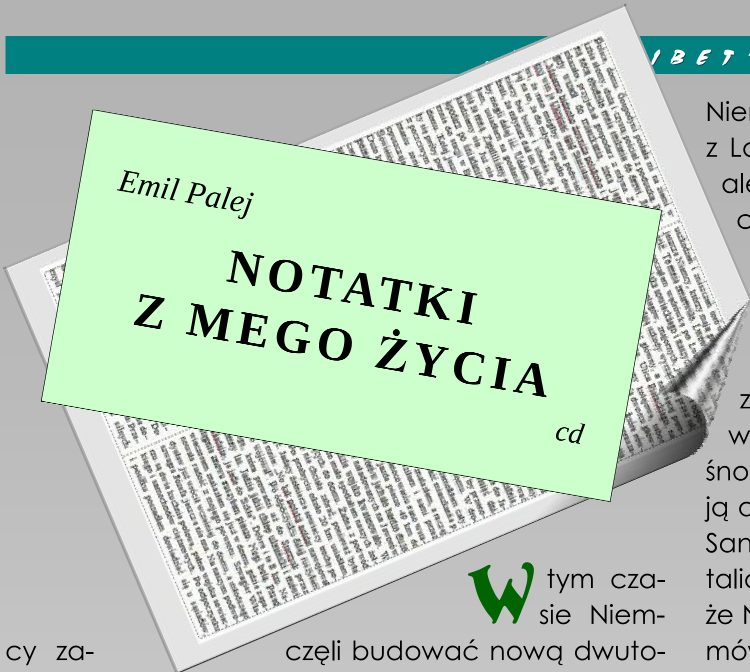
<<< >>>

Widać zatem, że historia Oleszyc posiada jeszcze wiele tajemnic i niejasności. Ich rozwiązanie jest możliwe, ale konieczne są badania archeologiczne czy architektoniczne. Badania te nie tylko są potrzebne specjalistom, ale mogłyby poszerzyć wiedzę o mieście. To z kolei mogłoby tak wyeksponować walory tego miasta, że wzrosłaby liczba turystów.

A MOŻE W KOLEJNEJ ENCYKLOPEDII – NAWET JEDNOTOMOWEJ – ZNALAZŁABY SIĘ CHOCIAŻ NAJMNIEJSZA WZMIANKA O OLESZYCACH

Kraków, grudzień 2011 roku





Emil Palej

NOTATKI Z MEGO ŻYCIA

cd

W tym czasie Niemcy zaczęli budować nową dwutorówkę kolejową Jarosław – Gródek Jagielloński przez Jaworów. W tym celu przybyło około tysiąca młodych ludzi do robienia melioracji i nasypów pod tor kolejowy. Młodzież tę zakwaterowano w byłych nowych koszarach sowieckich. 50% to Polacy, przeważnie ze Lwowa i innych miast. Ciężko pracowali, a wyżywienie bardzo liche. Młodzież polska pracowała osobno i kwaterowała osobno. Najgorsze prace na łąkach torfowiskowych przydzielono kompanii Baudienstu młodzieży polskiej. Ukraińcy mieli więcej swobody. W niedzielę szli w zwartym szyku do cerkwi, natomiast młodzież polska nie miała tego przywileju. Stworzono komitety w celu pomocy w wyżywieniu tej młodzieży. Ukraińcy mieli duże możliwości, ponieważ cały handel i administracja były w ich ręku, to dawali chleb, cukier, masło itp. Natomiast polski komitet tylko ze zbiórek od społeczeństwa polskiego. Przewodniczącym tego komitetu był Stanisław Krasicki, który bardzo się troszczył o polską młodzież.

Wiosną 1943 roku na terenie całego powiatu jaworowskiego 60% koni chorowało na świerzb (parch). Lekarz powiatowy weterynarii Fedorowski w uzgodnieniu z administracją wybudował pod swym lasem, u rakarza, obywatela Szlapańskiego, drewnianą komorę gazową dla koni (siarkowanie). W tym celu wezwał mnie do siebie lek. Fedorowski i oznajmił mi, że starostwo wydało już bardzo ostre zarządzenie, że z wyznaczonych wiosek od zaraz będą przyprowadzać chłopi konie chore na świerzb celem gazowania. Lekarz Fedorowski polecił mi tę pracę oznajmiając, że to się opłaci, ponieważ każdy ma podaną cenę za ten zabieg i tym będziemy się obaj dzielić. Zostawiłem Antosia Głabę samego na punkcie weterynaryjnym w Ożomli, a sam pracuję w Jaworowie i jestem w domu. To mi było na rękę, prócz tego dobrze się zarabiało. Jestem każdego dnia ze swoimi ludźmi i możemy pracować konspiracyjnie więcej. W tym roku w lecie Niemcy odnosili coraz większe sukcesy na Wschodzie. Zaczęliśmy już wątpić w pobicie Niemców. Pocieszały nas wiadomości radiowe z Londynu. Moskwę bardzo trudno było złapać – ale wiadomości też były pocieszające. W tym czasie z terenu powiatu jaworowskiego, rudeckiego, grodeckiego, mościckiego bardzo dużo Ukraińców zaciągnęło się do dywizji ukraińskiej. Ukraińcy zaczęli coraz bardziej podnosić głowę. Żaden nie zamienił słowa polskiego z Polakami. Wyczuwało się coraz większą nienawiść Ukraińców do Polaków. Ukraińcy dość głośno mówili, że z chwilą zwycięstwa Hitlera otrzymają autonomię od Zbrucza aż po San, a Polaków za San. Na odprawach we Lwowie, a czasami w batalionie w Gródku Jagiellońskim, pocieszano nas, że Niemcy niedługo będą pokonani. Zaczęto dużo mówić o samoobronie i walce z Niemcami. Trzeba być przygotowanym na wszystko. Starać się ciągle o broń i amunicję. Żydzi zamknięci w getcie głodowali. Biedne dzieci ukradkiem wychodziły z getta żebrząc o kawałek chleba, kartofla lub coś zjeść. Polacy chętnie pomagali i część Ukraińców nie nacjonalistów. Aby dostać się pociągiem z Jaworowa do Lwowa trzeba było mieć przepustkę. W tym czasie moja kurierka Ela Buczko wracała ze Lwowa z pocztą. Na dworcu w Jaworowie, w czasie wysiadania z pociągu, zatrzymano wszystkich pasażerów, legitymując i przeprowadzając rewizję. Ukraińców puszczono z miejsca, Polaków prowadzono do miasta na posterunek w asyście policji niemieckiej i ukraińskiej. Ela miała przy sobie trzy rozkazy dla mnie, pisane szyfrem, oraz 3.000 zł, które otrzymała, by wręczyć Krasickiemu do jego dyspozycji jako doraźną pomoc dla jakiejś osoby i w razie wsypy. Po przyprowadzeniu na posterunek wszystkich Polaków zaczęła się osobista rewizja, bardzo szczegółowa. Mężczyźni rozbierali się zupełnie, pruto marynarki, szukano w ubraniach. W drugim pokoju to samo robiono z kobietami. Ela zorientowała się, że jest bardzo źle, niepostrzeżenie wyjęła ze schowka tę pocztę (trzy małe kartki cienkiego papieru), włożyła do ust, stanęła troszeczkę dalej, żując te kartki, z wielką trudnością połknęła. W czasie jej bardzo szczegółowego rewidowania znaleziono pieniądze. Żandarm niemiecki łamaną polszczyzną zapytał, skąd to ma. Ela spokojnie odpowiedziała: „Paskuję, panie wachmajster. Sprzedałam we Lwowie rzeczy męża i swoje, by kupić sobie wyżywienie i na leczenie, ponieważ choruję na gruźlicę, to muszę się leczyć i dobrze odżywiać." Wachmajster, prawdopodobnie Austriak, powiedział: „Tak, poznać, bo jest blada, ale taka ładna i młoda, to musi się wyleczyć". Ukraiński policjant oświadczył, że ona bardzo często jeździ do .Lwowa, że oni to zauważyli (mówił łamaną niemczyzną). Ela to zrozumiała i powiedziała: „Tak jest, jeżdżę do lekarza." Wachmajster machnął ręką do niego, oddał jej pieniądze i kazał jej iść do

domu. Na drugi dzień spotkałem się z Elą, która mi wszystko szczegółowo opowiedziała. Zrozumiałem, że jest śledzona. Postanowiłem wysłać inną kurierkę z meldunkiem o całym zajściu. Na razie miałem trudności w wyszukaniu kurierki. Po rozmowie z zastępcą uzgodniliśmy zaraz, że pojedzie Antoś. Po dokładnym zapoznaniu się z zadaniem pojechał do Gródka Jagiellońskiego i tam oddał, co trzeba. Za parę dni przyjechała kurierka ze Lwowa do Krasickiego, przywożąc tę samą pocztę, którą zjadła Ela. Antoś Głaba, pseudonim „Biały", zaproponował mi na kurierkę swoją żonę, a ona chętnie się zgodziła. Biedna kobieta, matka czworga małych dzieci (a ostatnie jeszcze przy piersi) wywiązała się doskonale ze swego zadania. Jako wiejska kobieta ubierała się biednie, to nikt nie zwracał na nią uwagi. Jeździła do Lwowa przez Gródek Jagielloński, a z Ożomli do stacji Sądowa Wisznia 8 km piechotą. Antoś wychodził wieczorem naprzeciw niej. Jednego razu przywiozła mi większą pocztę zupełnie zniszczoną – mokrą. Włożyła ją pod pierś, a ponieważ była karmiącą matką, sączące się mleko zalało całą pocztę, ledwie została odczytana.

W tym czasie z getta, każdego dnia, wywożą biedni Żydzi na wózku ręcznym po kilka trupów starców i dzieci, którzy poumierali z głodu lub jakiejś choroby. Jednego razu w czasie leczenia koni w komorze siarkowej, gdy już nikogo nie było, poszedłem, jak zawsze, do obywatela Szlapańskiego (rakarza), któremu dobrze się powodziło. Mieszkała tam jego córka wdowa, bardzo ładna kobieta, matka trojga małych dzieci (dziewczynek). Mąż jej służył w wojsku, w kawalerii, jako wachmistrz podkowacz, zmarł na cukrzycę w 1938 roku. Znaliśmy się i żyliśmy bardzo dobrze jako koledzy. Stefa Rojewska poczęstowała mnie jednym głębszym, po czym powiedziała: „Emilu, chodź ze mną do stajni, coś zdaje mi się, moja krowa jest niezdrowa." Poszedłem z nią do stajni, a ta, zamiast pokazać mi krowy, wzięła drabinę i woła mnie na strych, zamykając za sobą drzwi stajni. Ja się chwilowo trochę speszyłem i pomyślałem sobie: „po co aż na strych", a zwłaszcza, że jej ojciec pozostał w domu. Na strychu dużo siana i różne graty. Stefa roześmiała się mówiąc, teraz będzie dla ciebie wielka niespodzianka. W tej chwili już .wszystko zrozumiałem. Ku memu wielkiemu zdziwieniu z kryjówki wychodzi młody adwokat Henryk Zeifer (Żyd). Rzuciliśmy się sobie w objęcia i po braterskim pocałunku zaczęliśmy rozmawiać. Henio dobrze wyglądał, ogolony i wesoły. Był zorientowany we wszystkim. Stefa doglądała go jak swego brata. Jego dwie siostry, z których starsza uczęszczała do szkoły z moją żoną, wcześniej (w czasie okupacji) wyjechały do centralnej Polski; on pozostał w Jaworowie i ukrywał się u Stefy. Ponieważ rakarnia znajdowała się na skraju lasu, gdzie prawie nikt nie przechodził, czuł się bezpiecznie. Stefa przyniosła nam wódki, zakąski; wieczorem wróciłem do domu. Od tego czasu, kiedy tylko gazowałem konie, po pracy rozmawialiśmy bezpiecznie, a wieczorem w samej izbie. Przynosiłem mu książki, gazety i wiadomości radiowe. O skrytce Henia nikt nie wiedział, .nawet moja żona. W tej chwili, jak to piszę, dopiero się dowiedziała. Henio prawdopodobnie jest w Polsce (w Katowicach lub Krakowie).

Jesienią tego roku już dochodziły słuchy o mordowaniu Polaków przez Ukraińców na terenie Wołynia. W tym czasie otrzymałem rozkaz pisany szyfrem, że mam do pobrania 6 sztuk automatów „Sten" w Gródku Jagiellońskim. Jak zwykle wysłałem Antosia, który nie zawiedzie. Antoś pojechał furmanką brata, zabierając ze sobą 2 worki ziemniaków, by tam zapakować automaty i amunicję. Antoś na miejscu został zapoznany z użyciem, przywiózł i mnie samego nauczył, jak się z nimi obchodzi. Broni mamy coraz więcej, jednak jeszcze nie dla wszystkich.

W samym Jaworowie, o miedzę od Starostwa i Sądu Powiatowego, znajdował się folwark hrabiego Dębickiego. W gmachu Sądu Powiatowego (w samym parku) Niemcy mieli magazyny broni i warsztaty naprawcze czołgów, samochodów i broni. Cała obsługa rekrutowała się z Holendrów, Belgów, Czechów i osób innych narodowości. Wojsko międzynarodowe w służbie u Niemców. Daty nie pamiętam, kiedy mój z-ca „Zryw" zgłosił mi, że ubiegłej nocy pod jego dowództwem, przy udziale Koraba, Linderskiego, Lisa i kilku jeszcze innych ludzi, poprzez włamanie do magazynu w gmachu sądu skradli około 40 niemieckich kbk bez amunicji. Broń ukryto. Część w grobowcu na cmentarzu polskim, część u Linderskiego, a część w polu Linderskiego pod kupami wywiezionego obornika. Po tych słowach po prostu zdrętwiałem. Zrobiło mi się gorąco. Byłem pewien wsypy, że to nie ujdzie uwagi Niemców. Nakazałem jak największą ostrożność. Broni, która jest ukryta w kupach obornika, na razie nie ruszać, ponieważ mogą śledzić i przyłapać na gorącym uczynku, to wtedy wsypa na całego. „Zryw" mi oświadczył, że Linderski dzisiaj wozi obornik dalej – zatrze ślady, a za parę dni w nocy broń zostanie zabrana. Tej nocy nie mogłem zasnąć. Z powodu każdego szmeru myślałem, że już idą po mnie, że jest wsypa. Broń ta w końcu została zabrana i rozprowadzona. O kradzieży broni nie było żadnej wiadomości, zupełnie cicho, jakby w ogóle nie została skradziona. Dodać należy, że inicjatorem kradzieży broni był kierowca samochodu osobowego hitlerowca, majora czy pułkownika, dyrektora folwarku (Liegenschaft) na dwa powiaty (około dwudziestu folwarków). Kierowcą był Polak z Krakowa, nazwiska nie pamiętam, który również został wciągnięty do konspiracji, z czego byłem

bardzo zadowolony. Przyznać trzeba, że ten człowiek był bardzo lubiany przez swego szefa, a nam oddał wielkie przysługi do samego końca.

Ze Stanisławem Krasickim kontaktowaliśmy się dosyć często – u niego w domu lub u mnie. Ze względu na to, że w Jaworowie Niemcy zlikwidowali szkołę polską, a tylko były czynne szkoły ukraińskie, polska młodzież nie miała możliwości uczyć się po polsku. Krasicki nawiązał kontakt z trzema nauczycielkami Polkami (m.in. z Heleną Jenczalik), które prowadziły potajemnie nauczanie. Ja nadal gazuję konie, a do Ożomli jeżdżę trzy razy w tygodniu. Ponieważ koni chorych na świerzb jest już mało, wyjeżdżam w teren celem sprawdzenia, czy świerzb u gazowanych koni znikł. To mi dało możliwość kontaktowania się na miejscu z dowódcami plutonów. Jak wynikało ze sprawozdań dowódców, broni jeszcze ciągle brakowało. Najlepiej były uzbrojone oddziały w Szułowej, Krakowcu i Pyszówce. Synowie Krasickiego pracujący we Lwowie, przyjeżdżając do domu dwa – trzy razy w miesiącu, przywozili zawsze jakieś pistolety dla nas. W tym czasie banderowcy coraz więcej mordują pojedynczych Polaków, tj. leśniczych, nauczycieli, księży – na terenie Wołynia i województwa tarnopolskiego. Informuje nas o tym nasze dowództwo i nakazuje większą czujność i ostrożność. Młodzież polska przy budowie nasypu kolejowego była coraz bardziej gnębiona przez polakożercę – hitlerowca, pułkownika SS, który był kierownikiem całej budowy. Młodzi ludzie zaczęli uciekać i chować się. Były wypadki śmierci z powodu głodu, ciężkiej pracy, bicia. Prócz tego zabroniono komitetowi polskiemu dawać żywność, względnie konfiskowano jedzenie i oddawano młodzieży ukraińskiej. Pułkownik SS, wracając od swojej kochanki Ukrainki, w nocy został zlikwidowany (zastrzelony). Likwidacja tego pułkownika nie przyniosła żadnego odwetu ze strony Niemców. Aresztowana kochanka została po paru dniach wypuszczona na wolność. Prawdopodobnie Niemcy posądzali swoich – że to porachunki osobiste. Po śmierci tego pułkownika i objęciu funkcji kierownika budowy przez innego Niemca, po pewnym czasie warunki znacznie się poprawiły i młodzież polska była traktowana na równi z młodzieżą ukraińską. Krasicki zbierał fundusze i żywność od Polaków i przekazywał polskiej młodzieży.

W miesiącu lipcu 1943 r. zostałem wezwany do starostwa w Jaworowie w celu otrzymania nagrody pieniężnej za likwidację świerzbu u koni w Liegenschafcie Ożomla i Przyłbice. Na przejazd otrzymałem służbową podwodę. Zabrałem ze sobą żonę i małą dwumiesięczną córeczkę Teresę do lekarza. Ponieważ zdobyłem pistolet parabellum i dwa magazynki amunicji, zabrałem to ze sobą, by dać dowódcy oddziału dywersyjnego. W drodze z Ożomli do Jaworowa, w lesie pod samą górą, zauważyłem stojące trzy furmanki; kilku policjantów niemieckich przeprowadzało rewizję. W jednej sekundzie wyciągnąłem pistolet, dając żonie do schowania. Żona, jak zobaczyła broń, nastraszyła się, jednak nie tracąc czasu, otworzyła pierzynkę dziecka, ja zaś podłożyłem pistolet dziecku pod plecy, żona nakryła pieluszkami i pierzynką. W tym czasie dwóch Niemców przyskoczyło do przeprowadzenia rewizji. Myślałem, że jesteśmy już zgubieni. Mała Teresa zaczęła bardzo płakać, ponieważ leżała plecami na pistolecie, który ją gniótł. Jeden z Niemców zapytał, czego to dziecko tak krzyczy. Odpowiedziałem, że jedziemy do lekarza, bo jest ciężko chora i żona też. Po tych słowach Niemiec kazał nam jechać prędko, by dziecko nie umarło; nie przeprowadzał wcale rewizji. Wyminęliśmy furmanki, z których zostało wszystko ściągnięte i przeszukane. Mała Teresa już nie mogła płakać, tylko jęczała. Po odjechaniu jakich stu metrów wyciągnąłem pistolet spod plecek Teresy; zauważyliśmy skrwawione plecki i pieluszki. Żona jeszcze więcej zbladła i rozpłakała się. Schowałem pistolet w siedzenie ze słomy z grochu i usiadłem koło furmana Ukraińca rozmawiając z nim na temat rewizji chłopskich furmanek, by dać możność żonie przewinąć dziecko i powycierać krew. Jak się później okazało, dziecko miało rankę na plecach od muszki pistoletu. Pomyślałem sobie, że tego pistoletu już nie dam, lecz zatrzymam go dla siebie i za krew dziecka zapłaci krwią esesman hitlerowiec. Pistolet ten miałem do samego końca, do chwili złożenia wszystkiej broni przez cały oddział Batalionów Chłopskich pierwszemu oddziałowi wojsk sowieckich w Milczycach koło Sądowej Wiszni. Ranka dziecka po paru dniach zagoiła się, jednak blizna była widoczna przez kilka lat. Córka Teresa liczy obecnie 18 lat i nieraz jej wspominam o tej przygodzie.

W lecie 1943 r. bandy ukraińskie napadają w nocy na leśniczówkę koło Sądowej Wiszni, mordują leśniczego i jego żonę, zaś syn jego skacze przez okno w las; w ten sposób uniknął śmierci. Jest to pierwsze morderstwo w powiecie jaworowskim. O tym natychmiast w meldunku powiadomiłem swoich przełożonych. Otrzymałem rozkaz większej czujności. Na jednej z odpraw we Lwowie spotkałem znajome twarze. Jak się później okazało, była to wspólna odprawa BCh i AK. Jeden z przywódców BCh powiedział, że nas nie wiąże żadna polityka, lecz tylko samoobrona, przede wszystkim walka z Niemcami w odpowiedniej chwili oraz walka o Polskę. To mnie zaintrygowało, ponieważ nie zdawałem sobie sprawy, że są jakieś jeszcze inne organizacje konspiracyjne. W trakcie narady wyszło na jaw, że łączą nas jedne i te same cele. Poza tym, co mi się podobało, jeden z przywódców

AK powiedział, że przyjął zrzut broni i amunicji, z czego część odda dla BCh. Następna taka odprawa odbyła się w dowództwie BCh dla Rudek, Gródka Jagiellońskiego, Mościsk i Jaworowa – na podobne tematy, w przyjaznej atmosferze. Nie było tam żadnych różnic między BCh i AK.

W tym czasie Polakom coraz to gorzej się powodziło, przeważnie w mieście, natomiast Ukraińcy zaczęli coraz więcej podnosić głowę. Część Ukraińców nacjonalistów, przeważnie z miasta, została volksdeutscherami, którzy już jawnie występowali przeciwko Polakom mówiąc, że miejsce dla Polaków to jest za Sanem, a tu jest Wolna Ukraina i prędzej czy później Polacy będą musieli opuścić te tereny. Ludność polska coraz więcej denerwowała się i żyła w strachu. Prasa konspiracyjna (bita na powielaczu), którą otrzymywaliśmy każdego tygodnia przez kurierkę, synów S. Krasickiego i samego Krasickiego, ciągle nas pocieszała. Pomimo tego, że czytali ją wszyscy ludzie będący w konspiracji, nie znalazła się w rękach ani Ukraińców, ani też Niemców. Ożomla to duża wioska (około 300 numerów). Była przed wojną podzielona na dwie części, tj. duża i mała. W dużej Ożomli mieszkali Polacy i Ukraińcy. W małej Ożomli, zwanej Szumlau, mieszkali w większości koloniści niemieccy, kilkanaście gospodarstw mieli Polacy i Ukraińcy. W 1939 r. w czasie przybycia na te tereny wojsk sowieckich, władze niemieckie przed opuszczeniem tych ziem zabrały wszystkich Niemców kolonistów, wraz z całym dobytkiem, do Niemiec. W miejsce zabranych Niemców, na ich gospodarstwach, władze sowieckie osiedliły Ukraińców i Polaków. Po napadzie Niemców hitlerowskich na Związek Radziecki Niemcy sprowadzili ze Związku Radzieckiego volksdeutscherów, wyrzucając z tych gospodarstw Ukraińców i Polaków. Mnie starostwo powiatowe przydzieliło miejsce na punkt weterynaryjny w nieczynnej szkole polskiej w dużej Ożomli. W tym domu, gdzie pracowałem, umieszczono volksdeutschera z rodziną. Rodzina ta otrzymała bydło, trzodę chlewną, żywność, ziemię itp. Lekarz Fedorowski powiedział mi, że w razie potrzeby mam im w każdej chwili udzielić pomocy weterynaryjnej i nie wolno mi wziąć ani grosza, chociaż by mi przemocą wpychano. Pracy miałem dość dużo. Otrzymany przez volksdeutscha inwentarz żywy był w bardzo złej kondycji, bardzo często chorował, a konie dość często dostawały kolkę. Strachu miałem dość, by sztuka nie padła, dlatego dosyć często wzywałem lekarza Fedorowskiego. Przyznać trzeba, że ci volksdeutsche byli uprzejmi, nie tak jak nasi. Poważali mnie przez cały czas pracy. Rozmawialiśmy po rosyjsku. Po zlikwidowaniu świerzbu u koni w całym powiecie, nie miałem już takiej możliwości być w terenie, a tylko w Ożomli i raz do dwóch razy w tygodniu, niby służbowo, w Jaworowie i w domu z soboty na niedzielę, wobec czego zabrałem obydwu synów i żonę do Ożomli. Zamieszkaliśmy w szkole, razem z wdową – nauczycielką Stelmachową. Zrobiłem to dlatego, że uczyła potajemnie synów – piąta i trzecia klasa. Tak w Jaworowie jak i w Ożomli zlikwidowano polskie szkoły.

W Krakowcu, 18 km od Jaworowa, mieszkał w pałacu hrabiny Ledóchowskiej, 71-letniej staruszki dziwaczki, dyrektor lasów całego terenu – oficer SS bardzo wrogo nastawiony do Polaków, którym robił wielkie przykrości. Bił, kopał ludzi pracujących przymusowo w lesie. On to zapędził ludność żydowską z Krakowca i okolic do getta w Jaworowie. Wiosną 1943 r. dyrektor w czasie przejażdżki konnej w lesie został zastrzelony. Konia złapano po kilku dniach, a zwłoki dyrektora znaleziono jeszcze później. W stosunku do ludności ze strony Niemców nie było żadnych represji. Zastrzelenie dyrektora na czyj rachunek poszło, nic nie wiadomo.

We folwarku hrabiny Czosnowskiej w Ożomli jako zarządca pracował były rotmistrz kawalerii Szenk, słynny jeździec i sportowiec, znany z Nicei i z innych zagranicznych występów sportowych. Obsługiwałem ten folwark, co mi było na rękę, ponieważ otrzymywałem dość duże wynagrodzenie. Zabijało się zdrowe sztuki od czasu do czasu (a spisywało się jako padłe), wobec czego Szenk, służba i ja mieliśmy mięso. Z Szenkiem żyłem w dobrej komitywie. Jednego razu w trakcie rozmowy z nim powiedziałem, że słyszałem o organizacjach konspiracyjnych w Polsce, a u nas prawdopodobnie nic nie ma. Chciałem wywnioskować, co on na to powie i jakie jest jego zdanie. Wypiliśmy gorzelnianki parę kieliszków przy tym, a on mi odpowiedział: „Proszę pana, na to jeszcze nie czas. Ja o tym też myślałem, jednak jest jeszcze za wcześnie tu u nas. Jesteśmy między młotem i kowadłem. Z jednej strony Ukraińcy, a z drugiej Niemcy. Jeszcze by się nie zawiązała organizacja, a już by było po nas. Przyjdzie na to czas”. Pomyślałem sobie: „Człowieku, jaki ty jesteś głupi. My już dawno mamy organizację podziemną, dość możliwie uzbrojoną i dość liczną”. Na tym skończyła się rozmowa. Przyznam się, że żałowałem, że poruszyłem taki temat, a nawet trochę się obawiałem.

cdn.

Szanowni Nasi Czytelnicy!

Kilkakrotnie przekonaliśmy się, że w każdej kłopotliwej sytuacji odwołanie się do opinii publicznej daje najlepsze rezultaty. Zrobimy tak i tym razem. Nie dlatego, aby można później powiedzieć – „trudno, sami tego chcieliście". Nie, nie dlatego, ale po prostu dlatego, że poczucie służby wobec czytelnika każe naszej redakcji zwrócić się do tzw. szerokiego gremium – jeśli nie mamy pewności, a w tej sytuacji Czytelnicy dadzą nam siłę i prawo do działania w ich imieniu i w ich interesie. Z apelem takim zwracaliśmy się już do Czytelników niejednokrotnie, prosząc o włączenie się do współtworzenia naszego pisma, do nadsyłania materiałów – prób literackich, czy to prozatorskich, czy też poetyckich.

Tyle wstępu, a teraz... ad rem. W kontaktach osobistych, a często również telefonicznych, otrzymujemy liczne sygnały, że jeśli tylko nadarzy się dobra okazja, należałoby wznowić istniejący kiedyś kącik o ambicjach literackich, który funkcjonował pod nazwą „Arboretum literackie" i był rodzajem urozmaicenia zawartości „Quod Libet". Dziś podobnie, jeśli tylko zaakceptujecie, Szanowni Czytelnicy, tę propozycję, to w zależności od Waszej reakcji będziemy w kolejnych numerach zamieszczać drobne utwory literackie, a zaczniemy od kogoś, kto dotychczas był tylko czytelnikiem i entuzjastą naszego pisma i zwrócił się do nas listownie.

A oto fragment tego listu:

… Nie jestem wiernym czytelnikiem Pańskiego pisma. Ale dzięki mojej małżonce – żarliwej czytelniczce „Quod Libet", która z powodu sentymentu związanego z miejscem urodzenia i wychowania nie wyobraża sobie corocznych wakacji bez kilkudniowego pobytu w Przemyślu i okolicach, zostałem również wciągnięty w śledzenie tego interesującego wydawnictwa.

Sam tytuł pisma upoważnia mnie również do zaproponowania Panu kilku moich mini-opowiadań, które ze względu na zawartą w tytule różnorodność mogłyby zagnieździć się gdzieś w kąciku pisma w nadziei na uznanie, w myśl zapomnianego w dzisiejszych czasach starego przysłowia: Siedź w kącie – a znajdą cię….

Kilka otrzymanych prac-propozycji to są przykłady twórczej pasji, wyrażającej się w pisaniu krótkich, dających do myślenia opowiadań o różnorodnej tematyce.

Zapewne szuflada naszego Czytelnika zaczęła się już przepełniać tymi pracami, dajmy zatem pod osąd ogólny to pióro. „Pióro" – to może zbyt dużo powiedziane – powiedzmy raczej „piórko". Niech zatem, jak piórko na wietrze kołysze się fabuła tych mini opowiadanek.

Wiele zapomnianej łaciny używamy w naszym piśmie, również w poczuciu trwania i w oparciu się na wartościach uniwersalnych, a ponieważ mogą to być różności literackie, nazwijmy ten dział „*MISCELLANEA*". I będą to niewątpliwie utwory niejednokrotnie pisane z głębi serca, dodajmy przeto jeszcze podtytuł „*ab imo pectore*".

Prosimy o rzetelne opinie, bo od nich zależeć będą losy tego eksperymentu.

Redakcja

MISCELLANEA

ab imo pectore

WOJTEK

Obudziła mnie albo cisza, albo sączące się znad stołu światło lampki. Wojtek siedział tyłem do mnie. Widziałem łuk jego pleców, rozłożone na krawędzi stołu łokcie. Szeptał coś do siebie lekko kołysząc tułowiem. Przypominał modlącą się postać Żyda.

Jak to możliwe, że teraz, w środku nocy, Wojtek, który wraz z resztą mieszkańców pokoju, tuż po wizycie na dobranoc Karola – wychowawcy internatowego, posłusznie kładł się do spania, teraz ślęczy nad książkami, w dodatku mruczy coś pod nosem, w niezrozumiałym języku. Może materiał przerabiany na lekcjach nie był w pełni dla niego zrozumiały, może zadany do domu materiał przekraczał możliwości czasowe, sam już nie wiedziałem, co mogło powodować, że Wojtek dzisiaj, jak zresztą co noc, siedział przy stole tyłem do mnie i szeptał coś do siebie lekko kołysząc tułowiem.

- Wojtek, czemu ty jeszcze nie śpisz? Co ty po nocy tak się nad tymi książkami modlisz? Kładź się wreszcie chłopie, bo jutro będziesz nieprzytomny - mówiłem w miarę cicho, aby nie obudzić jeszcze dwóch współmieszkańców internatowego pokoju numer osiem.

- Śpij, śpij, już zaraz kończę, jeszcze tylko ten pluskwamperfektum* – jak przez mgłę dobiegały mnie usprawiedliwienia tego kujona.

- Zostaw te pluskwy i kładź się spać. Kto dzisiaj uczy się łaciny, kto, szczególnie jak ty, chorowity chudzielec, kosztem snu, wypoczynku i zdrowia chce zadowolić belfrów? - chciałem go sprowadzić na średni poziom nauczania.

- Łacina jest podstawą na medycynie, jak chcesz zostać lekarzem, a ja bardzo chcę – mówił, ciągle nie odwracając się w moją stronę - to musisz przemóc senność, poświęcić wypoczynek i zdrowie i solidnie nauczyć się łaciny, jeśli chcesz, jak ja, zostać lekarzem. A ty śpij spokojnie, ty chcesz zostać tylko nauczycielem, więc nie wymagaj od siebie więcej niż od ciebie wymagają, wiem, że będziesz dobrym pedagogiem i niech ci to wystarczy na moje usprawiedliwienie.

Taki był Wojtek, mój internatowy kolega licealny. Przypominał, znanego z lektury, obowiązkowego Andrzeja Radka i pasował jako wzór pracowitości, ale na pewno nie prac syzyfowych.

Kiedy włączyłem dziś, jak co dzień, telewizor, aby niechcący ochlapały mnie tym powszechnie obowiązującym błotem wiadomości życia społecznego, słyszę, jak w Szpitalu Specjalistycznym we Wrocławiu, jego dyrektor profesor Wojciech Witkiewicz, odpowiedzialny za ewakuację kilkuset chorych, głosem spokojnym, rzeczowym i takim jaki słyszałem tej nocy, kiedy Wojtek pochylony nad słownikiem łacińskim powtarzał słówka martwego, ale ratującego życie języka, opowiada jak w trakcie ewakuacji szpitala zmarł bardzo ciężko chory pacjent, bo jakiś inny chory, nieodpowiedzialny imbecyl zagroził wysadzeniem szpitala i zmusił jeszcze raz Wojtka do takiej pracy, o jakiej marzył jako uczeń jeleniogórskiego liceum.

Zenon Rogala

* *plusquamperfectum* (łc. tempus plusquamperfectum od *plus* 'więcej' + *quam* 'niż' + *perfectum* 'przeszły'; jeden z czasów w gramatyce łacińskiej.

RÓWNY

„ …jedno słońce nam przyświeca, jeden grad niszczy nasze łany i jedna ziemia kryje kości przodków naszych”.
Janusz Korczak (właśc. Henryk Goldszmit; 1878–1942) – polski pedagog, publicysta, pisarz i lekarz

Największy z wielkich, najodważniejszy z odważnych, najpotężniejszy z miłujących, najofiarniejszy z hojnych, najcieplejszy z życzliwych, najukochańszy z kochających, najbardziej usłużny z niewolników... i podawaj jeszcze wszystkie naj, i wyszukaj jeszcze wszystkich naj, i uszereguj jeszcze wszystkich naj, ale wiedz, że na czele ich wszystkich zawsze, póki jako ludzie chcemy wiedzieć więcej o sobie, póki jeszcze mamy chwilę na refleksje, zawsze na czele tego chlubnego orszaku będzie kroczył ON – Janusz Korczak.

Lato było, jak to się zwykło w takich razach mawiać, niemiłosiernie upalne, już największe autorytety obwieszczały niechybną, jak co roku, klęskę nieurodzaju, choć teraz nie z nadmiaru, a przeciwnie, z braku deszczu. Sytuacja stawała się na tyle poważna, że nawet parlament, wydawało się cywilizowanego kraju, wystosował do nieba petycję o deszcz...

Miał nie więcej niż dwa, może dwa i pół roku. Z trudem gramolił się na niezbyt wysoki w tym miejscu murek, odgradzający parkową aleję od poniżej przepływającej rzeki. Nie wiem skąd, ale wiedziałem, że chłopiec za chwilę spadnie na drugą stronę.

- Proszę czuwać nad dzieckiem, bo zaraz wpadnie do wody, ja nie wskoczę za nim, bo z wielu rzeczy, których nie umiem, pływanie jest na pierwszym miejscu – wiedziałem dzięki stojącej obok butelce, że najbardziej zajęta rozmową z koleżanką kobieta jest matką małego Rafałka.

Drugi człowiek – cel i zaszczyt. Drugi człowiek – ważniejszy od pierwszego.

Dla nich zarywał swoje noce, aby podglądać śpiące dzieci, zapisując jak często zmieniają układ ciała w czasie snu, pamiętał i sprawdzał, jakie i na ile, przeżycia dzienne, mogą wpłynąć na głębokość i długość nocnego wypoczynku. Prowadził notatki każdej nocy, a zestawienie danych miało posłużyć do gruntownej analizy związków przyczynowo-skutkowych emocji dziennych z efektami nocnych zachowań.

Łatwizna nigdy nie była i na szczęście nigdy nie będzie miarą wartości. Wielka to chluba wziąć na wychowanie kilkoro dzieci przez znane małżeństwo aktorów czy innych celebrytów, dla których codzienne rachunki sięgają wielotysięcznych kwot, a zakupy i warunki zamieszkania gwarantują całe rzesze chętnych, sowicie opłacanych opiekunów. Czy widzisz teraz różnicę patrząc na Wielkiego Doktora z wielkim workiem, chodzącego po okupowanej Warszawie w żebraczej drodze krzyżowej do sklepów i różnych knajp oraz zakładów produkujących wojenną żywność? Świadomość, że to jedyna możliwość utrzymania najmłodszych, dawała mu siłę do znoszenia dojmujących upokorzeń od współludzi i codziennego zmagania się z wojenną rzeczywistością, okrutnie bezwzględną, skrajnie egoistyczną. Dopingiem dla coraz trudniejszych starań było przekonanie, że nikt poza nim nie zagwarantuje dzieciom przeżycia następnego dnia. Ale jeśli zginą, to nie bez niego. Dopiero widząc ten trud i tę codzienną beznadzieję, można poznać prawdziwą wartość, jaką jest drugi człowiek. A co widać, jeśli wiemy, że Wielki Doktor zdecydował się dobrowolnie iść na śmierć wraz z tymi dziećmi?

Kij trzymała za plecami w zaciśniętej pięści.

- Chodź do mnie, natychmiast, nie zbiję cię... - druga ręka wyciągnięta do płaczącego chłopca wykonywała zachęcające, przyjazne gesty; w głosie matki słychać było co najmniej dwa piwa.

Po chwili usłyszałem przerażający krzyk oszukanego dziecka, a drogę do matki zagrodził mi wygolony w podkoszulku.

- Spływaj stąd koleś, to jest jej cholerny dzieciak i nic ci do jego wychowania - był pierwszym wspólnikiem tego przestępstwa na dziecku, a ja byłem drugim, poprzez zaniechanie; męczy mnie to do dziś, choć wyrok wiele lat temu się przedawnił.

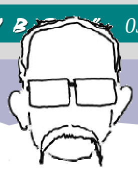
Godność to wartość szczególnie cenna w czasach pogardy dla człowieka. On przeniósł przez tę brunatną, niemiecką noc, definicję godności. Przeniósł i dodał dotychczas nie widziany przez nikogo dodatkowy walor. Godność dziecka – człowieka. Uczynił dziecko nie równorzędnym, ale ważniejszym partnerem w dialogu ze światem dorosłych. Ważniejszym, bo słabszym. Ustanowił Pierwszy w Świecie Parlament Dziecięcy. Szacunek dla prawa i wzajemnych ustaleń, wpajane od najmłodszych lat, miały być polem ćwiczeń dorosłej przyszłości.

Posłowie po takiej praktyce nigdy nie dopuściliby do szargania symbolu religijnego, gdy umieścili go bezprawnie i tchórzliwie na sali plenarnej, a po czternastu latach tolerancji bezprawia, bezprawnie nie zaakceptowaliby tego tchórzostwa poprzez tchórzliwą akceptację, odbierającą temu symbolowi jego godność.

W Roku Korczakowskim, czyli w 2012 roku, jeśli człowiek ma szansę godnie uczcić Wielkość, to nie musi zdejmować wiszącego krzyża, ale powinien na nim powiesić portret JEGO - bo bogu Równy.

Zenon Rogala

Michał Kozera rysuje







HUMOR ŻYDOWSKI

Wśród uczniów jeszubotu:

– Skąd ty masz pewność, że już patriarcha Abraham nosił jarmułkę?

– To bardzo proste. Przecież w księdze Genezis czytamy: „I rzekł Pan do Abrahama: wyjdź z domu ojca swego"... – a jakiż pobożny Żyd wyszedłby z domu bez jarmułki?!

<<< >>>

Froim skłonny do filozoficznych rozważań, nie może zasnąć. Dokucza mu pchła.

– Ach, ty, pchło! – powiada wreszcie zniecierpliwiony. Ja ciebie nie rozumiem! Albo ty jesteś zdrowa – to co ty robisz w łóżku? Albo ty jesteś chora – to dlaczego ty skaczesz?...

<<< >>>

Hotelik żydowski w Zbarażu. Szósta godzina rano. Gospodarz budzi śpiącego gościa.

– Na miłość boską! – protestuje gość. – Przecież prosiłem, aby mnie obudzono o godzinie ósmej.

– To prawda – usprawiedliwia się gospodarz. – Ale kupiec z sąsiedniego pokoju chce jeść śniadanie...

– No to co mnie to obchodzi?!

– Pan śpi na naszym jedynym obrusie.

<<< >>>

Pesel robi na rynku zakupy. W drodze powrotnej spotyka ją sąsiadka Sara.

– Czy słyszałaś już smutną nowinę?

– Jaką? Co się stało?

– Golda umarła.

– Golda? Jaka Golda?

– Żona blacharza.

– Zaraz... Potrzymaj mi koszyk!

Uwolniwszy się od ciężaru Pesel załamuje ręce:

– Oj, biada mojej głowie! Golda umarła! Taka dobra, taka uczciwa, taka bogobojna, koszerna żydówka!... Słuchaj no, Golda? Żona blacharza?... Którego blacharza?

STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA w Krakowie

Adres: ul. Ułanów 46/151, 31–455 Kraków, tel.: 124113493, 601961488, e-mail: czq@onet.pl
Rachunek bankowy: PKO BP SA. I Oddział w Krakowie, Nr konta: 76 1020 2892 0000 5002 0160 1236
Redakcja: Czesław Kudła – red. nacz., M. Frodyma. Współpraca: M. Kozera, Z. Ostrowski, J. Schubert, A. Sarkady. A. Stanok

WYDAWNICTWO WEWNĘTRZNE **STOWARZYSZENIA PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA w KRAKOWIE**

MOŻE UKAZYWAĆ SIĘ NIEREGULARNIE

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania nadesłanych tekstów. Prezentowane poglądy nie zawsze zbieżne są z poglądami redakcji.